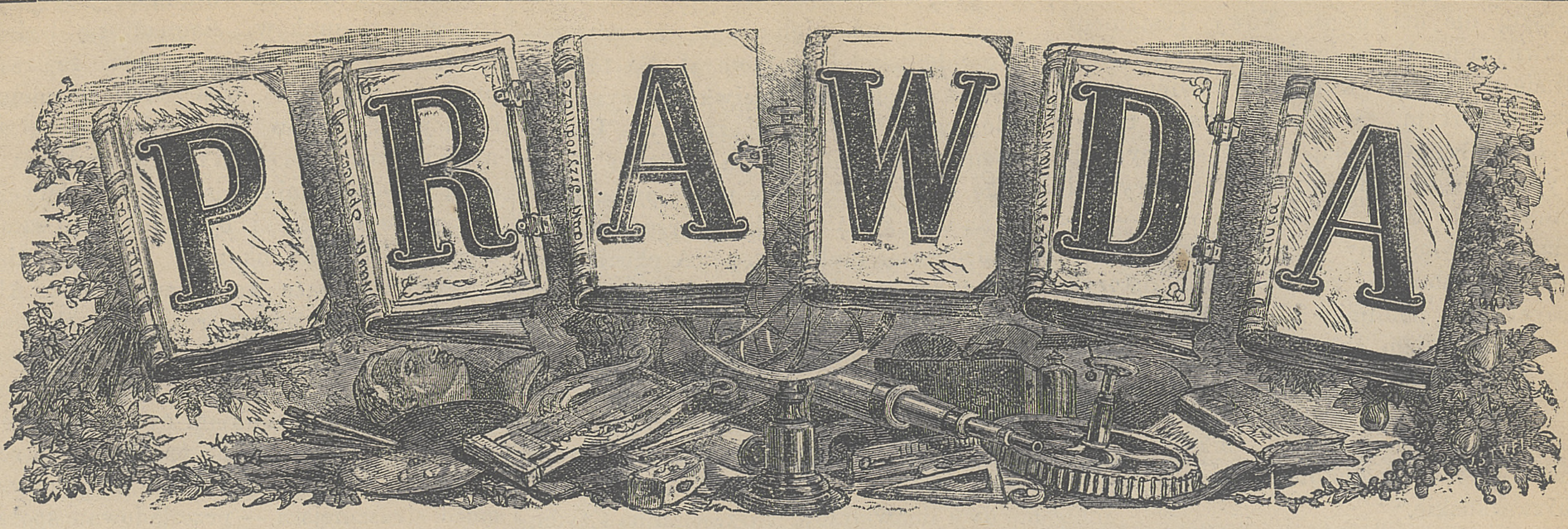
№ 22. Warszawa, dnia 28 (16) Maja 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

ZMIENIONE PYTANIE.

Zadaniem myśli naszej, badającej zjawiska społeczne, jest a przynajmniej być winno podciągnięcie każdego z nich pod najogólniejszą przyczynę, najogólniejsze socyologiczne prawo. Zadanie to obowiązuje nas również w poznaniu sprężyn ruchu, skierowanego przeciw żydom, a usprawiedliwiającego swą ważnością ponowne nasze nad nim uwagi. Gdy telegraf z jednego punktu przyniósł wiadomość o bijatyce chrześcian z żydami, wystarczyło nam na pierwszą chwilę objaśnienie, że powodem starcia był spór w karczmie o stłuczoną szklankę lub na ulicy o rozdartą sukmanę. Gdy jednakże owa walka rozpostarła się szeroko a stłuczone szklanki i rozdarte sukmany nie wszędzie ją poprzedziły i niedostatecznie tłomaczą, zaczynamy szukać przyczyn dalszych, powszechniejszych. W badaniu tem wreszcie, wznosząc się coraz wyżej po stopniach racyj, dochodzimy do wniosku, że ani pobudki religijne, ani wstręty rasowe, którymi przywykliśmy objaśniać sobie tego rodzaju katastrofy, nie zdołają same przez się dźwignąć całej za nie odpowiedzialności.

Jeżeli burza, która przelatuje przed naszemi oczyma, jest zagadkową, wynika to z ludzkiej słabości antropomorfizowania przyczyn, stąd, że nie pytamy *co* ją wytworzyło, ale *kto* ją wywołał. Tym sposobem cały proces społeczny zamieniamy odrazu na sprawę kryminalną, w której należy tylko odszukać..... przestępców. Ta socyologiczna metoda, ze szczególnem upodobaniem stosowana przez opinię rosyjską przy wszystkich zaburzeniach, prowadzi istotnie do odkrycia winowajców jakiegoś pojedyńczego konkretnego wypadku, ale nie do wykrycia przyczyn i warunków, umożliwiających całą sumę owych zdarzeń. Bezwątpienia, dla straży porządku publicznego jest względem bardzo ważnym, a nawet obowiązkiem wyśledzić sprawców tego lub owego starcia; ale złowienie ich nie wyczerpuje wcale zadania, które narzuca się państwu i jego myślącej opinii. Dla państwa, dla ludzi, badających jego życie i rozwój, wytropienie wichrzycieli stanowi rzecz drobną; główną pozostaje odpowiedź na pytanie: nie *kto*, ale *co* jest przyczyną tych wielkich wstrząśnień i wybuchów?

Pod taką właśnie postacią wyrażone zagadnienie w sprawie żydowskiej chcemy tu rozwiązać największem, według nas, prawdopodobieństwem.

Nie my pierwsi wypowiadamy tę niewątpliwą prawdę, że wiek nasz jest epoką wyzwalania się lub wyzwalania tak zwanego *stanu czwartego*. Stulecie poprzednie wydobyło stan trzeci—mieszczaństwo, z pod władzy i przewagi drugiego, szlachty; obecne rozpoczęło też samą walkę w imieniu czwartego przeciw trzeciemu i drugiemu. A nie należy sądzić, że walkę tę podjęły i prowadzą jedynie głodne żołądki i pozbawione pracy ręce lub ich obrońcy; że po jednej stronie widzimy pierwiastki uprzywilejowane, a po drugiej ciemne i zabiedzone masy, którym hetmanią bandyci społeczni; bynajmniej. Najróżnorodniejsze żywioły mięszają się i tworzą wspólne szeregi pod tą chorągwią. Każda idea ma swoją skalę, podzieloną na liczne stopnie. Podczas gdy w zapalonym, fanatycznym agitatorze przedstawia się jako gwałtowna żądza nagłego przewrotu, w strzegącym majestatu praw ministrze staje się spokojną pobudką gruntownej reformy. Zdaje się napozór, że pomiędzy osadzonym w kozie i prześladowanym za socyalistyczne wichrzenia Beblem a ks. Bismarkiem niema ani jednej nici łącznej; a jednakże już dziś wszyscy przyznają, że kanclerz niemiecki jest państwowym socyalistą i prowadzi politykę swego narodu w kierunku przez Lassala wskazanym. Podobnych pokrewieństw w sprzecznościach wskazać można bardzo wiele. Socyalizm rosyjski (odtrąciwszy z niego dążenia polityczne), upomina się, jak wiadomo, o poprawę doli ludu. Pomijając różnicę środków praktycznych, która jest rzeczywiście wielką, czyż nie do tegoż samego celu dążyła reforma włościańska w Rosyi i Królestwie? Dwa przeciwległe krańce, oddzielone od siebie przepaścią, połączyły się wspólnością idei. M. Milutin, jak ks. Bismark, jak Gambetta (także nazywany już socyalistą państwowym), jak każdy wreszcie mąż stanu, działający na korzyść pracy, wyzyskiwanej przez kapitał lub przywileje, podejmuje toż samo, tylko inaczej spełniane zadanie, któremu poświęcają się ludowi agitatorzy.

Że temu prądowi nie opiera się dziś w Europie żaden żywioł, zaświadczy jeszcze jeden przykład. Ile razy tylko emancypacya stanu czwartego przybierze postać występku, najpierwszy wypiera się wszelkiej z nią wspólności katolicyzm. Poseł Windhorst w sejmie niemieckim nieustannie nawet zapewnia, że dopóki księża nie będą mieli swobodniejszych rąk, dopóty rak socyalistyczny toczyć będzie ciało Niemiec. A jednakże wszystkim wiadomo, że istnieje w Europie jawny socyalizm katolicki, który posiada swoje organa i swoje apostolstwo. Schings, Ketteler, Moufang są głównymi przywódcami tego kierunku. Od r. 1868 wychodzi w Akwisgranie pismo p. t. *Christlich-sociale Blätter*, służące głównie tej propagandzie: „Katoliccy socyaliści — powiada Meier — wytworzyli sobie własną teoryę społeczną, która jest tem ciekawszą, że podzielając systemat płacy Rodbertusa, żąda dla niej rękojmi państwowej..." A więc

Rodbertus, Lassalle, biskup Ketteler i kanonik Moufang — razem! Nie ma w tem zresztą nic dziwnego. Nowy Testament głównym punktem swej ciężkości przechylił się w tę sferę, którą dziś zowiemy stanem czwartym. St. Simon dał swej teoryi podkład religijny, najskrajniejsi socyaliści wyprowadzali rodowód swych doktryn od nauki Chrystusa. „Nie mogę pojąć — powiada wspomniany wyżej badacz — dla czego ekonomiści, zajmujący się historyą socyalizmu, pomijają fakt, że wszelki poważny socyalizm tkwi w chrześciaństwie i dąży do celów, mających swoje uzasadnienie w religii chrześciańskiej. Zedrzyjmy łupinę, w którą fanatycy zamknęli teorye socyalistyczne, a znajdziemy czyste ziarno chrześciańskie."

Jeżeli tak jest, jeżeli cywilizacya chrześciańska jest gruntem płodnym dla tych ziaren, to nic dziwnego, że kiełkują one we wszystkich jej warstwach, że stanowią dziś najgłówniejszy jej porost. Nie mamy zamiaru rozbierać tu teoretycznie przeróżnych postaci socyalizmu; chcemy tylko wskazać i wskazaliśmy, że idea praw i wyzwolenia stanu czwartego, rozszczepiając się jak widmo świetlne na rozmaite barwy, które odbijają się w rozmaitych sferach społeczeństw, stanowi ów promień, który przenika życie naszych czasów. Tworzy ona potężny prąd, który porywa i w jednym kierunku niesie najsprzeczniejsze żywioły: robotników obok pracodawców, ministrów obok agitatorów, bezwyznaniowców obok fanatyków religijnych.

Prąd ten, którego głównem źródłem pozostają dotąd Niemcy, rozlał się szeroko w Rosyi. Reforma włościańska otworzyła mu szerokie łożysko, które ciągle się rozszerza. Skutkiem warunków miejscowych, sprzyjających jego biegowi i potęgujących jego siłę, doróśł on wkrótce do ruchu, który pochłania w sobie wszystkie inne strumienie. Bez przesady rzec można, że cały obecny rozwój Rosyi jest pracą nad wyzwoleniem stanu czwartego. Otóż zachodzi pytanie, w jakim stosunku do tego ruchu pozostają żydzi?

Jak wiadomo, zajęli oni głównie trzy pola: giełdę, handel i przemysł. Są to akurat trzy dziedziny, przeciwko którym głównie zwrócił się stan czwarty. Ile razy przychodzi do słowa, zawsze skarży się na wyzyskiwanie pracy przez kapitał, na nadużycia fabrykacyi przemysłowej na zdrożności giełdy i t. p. A chociaż nie sami żydzi składają tę sferę, która jest przedmiotem ekonomicznej nienawiści, oni jednak należą do niej przeważnie. Jeżeli do tego dodamy ich odrębność religijną, rasową, obyczajową, słowem etnologiczną, to pojmiemy, dla czego najłatwiej zapalić przeciw nim namiętności. Wyobraźmy sobie dwu lichwiarzów: chrześcianina i żyda, obu z jednaką bezlitością duszącego swoje ofiary: którego one bardziej nienawidzą i na którego chętniej się rzucą? Naturalnie na żyda, bo on budzi w nich daleko więcej uczuć zemsty, aniżeli pierwszy. To nam właśnie tłomaczy, dlaczego ruch wrogi izraelitom, panujący dziś w całej Europie, objawił się tak gwałtownie w Rosyi. Prosta jej ludność, cywilizacyjnie niższa, z jednej strony przedstawia większe różnice etnologiczne a z drugiej jest na nie czulszą. Żyd rosyjski bardziej różni się od chrześcianina, niż niemiecki; nadto niemiec słabiej odczuwa odrębności jego religii, cech antropologicznych i obyczajowych, niż rosyanin. Gdy więc starcia ekonomiczne skrzeszą ogień walki, przeciwieństwa rasowe i wyznaniowe rozdmuchują go szybko. To też nie myślimy przeczyć, że przeciwieństwa owe wpłynęły na spotęgowanie zaburzeń, sądzimy jednak, że ich nie zrodziły. Proces wyzwalania się stanu czwartego, ogarnął Rosyę a w tym procesie pierwszemi ofiarami stali się żydzi.

Wierzymy, że władze bezpieczeństwa publicznego popęd do gwałtów i rabunków stłumią; zdaje nam się jednak, że nad nim zupełnie nie zapanują. O ile sprawa ta jest dziełem osób, przeciąć ją łatwo: winni zawichrzeń zostaną schwytani, osadzeni i ukarani; o ile ona wszakże jest wytworem stosunków, ciągnąć się będzie bardzo długo. Wątpić trudno, że rząd prędzej czy później, w przedmiocie emancypacyi żywiołów ekonomicznie zależnych nie zatrzyma się na reformie włościańskiej i wogóle zmianach dotychczasowych, lecz pójdzie dalej i być może z tą samą zręcznością, jaką okazuje kanclerz niemiecki. rozwiąże te zagadnienia. Ale i wtedy, gdyby nawet rozwój stosunków społecznych nie zboczył ani na chwilę z drogi legalnej, skrzyżować on się musi z jednostronnym kierunkiem żydów. Plemię to przeszło ciężką próbę prześladowań religijnych; teraz nadchodzi dla niego nowa, może straszniejsza — prześladowań społecznych. Jeżeli jej nie dostrzegają jego przewodnicy, zaiste mają wzrok bardzo krótki. Wyłączne niemal tłoczenie się izraelitów na owe pola, na których toczą się główne ekonomiczne boje, kryje dla nich poważne niebezpieczeństwa. O czem dziś marzą oni w najniższych pokładach? Czy o pracy na roli, w fabrykach? Nie, o szczęściu w obrotach pieniężnych lub handlowych; nic też dziwnego, że uważani są za wcielenie wyzysku.

Dla ofiar, ginących w okrutnej walce o byt, mamy wszystkie uczucia litości; żałujemy też nieszczęśliwych, którzy straciwszy dorobki całego życia, rozpierzchają się nieraz z żebraczemi torbami. Ale najgłębsze miłosierdzie nie zasłania nam praw nieubłaganej konieczności, która rozpaczliwych krzyków nie słucha i burzy wszelkie przeszkody. W poprzednim numerze *Prawdy* rozpatrując ten przedmiot ze strony narodowej, wykazywaliśmy żydom potrzebę etnologicznego utożsamienia się z otoczeniem; dziś badając go ze strony ekonomicznej, pragnęlibyśmy ich odciągnąć od wyłącznego zajmowania tych stanowisk, na które uderzają fale nowożytnego prądu społecznego. Niech starają się naprzód dopasować do narodowych warunków kraju,

---

OPIEKUNOWIE [1)]

przez

Szczedryna.

I.

W tym odmęcie, gdzie się z wami
Kąpię, drodzy przyjaciele....
Puszkin.

Trzykrotny przeraźliwy świst uprzedza pasażerów o zbliżaniu się statku do przystani. Publiczność pierwszej i drugiej klasy wylega z kajut na pokład; wieśniacy się żegnają i narzucają worki na plecy. Gorące południe czerwcowe; na niebie ani obłoczku; rzeka błyszczy. Za skrętem widnieje wielka handlowa wieś L., cała oblana promieniami stojącego na zenicie słońca.

Ale otóż i przystań. Parostatek stopniowo zwalnia bieg; klekocząc jego koła obracają się coraz wolniej; ratmani stoją w pogotowiu, z hamulcami w rękach. Jeszcze dwa, trzy obroty — parochód zadrżał i stanął. Między innymi pasażerami, w. L. wysiadam i ja, w oczekiwaniu na konie do dalszej podróży.

Dawniej, kiedy wszystko było zwyczajne, i tu przystań była zwyczajna. Jej urządzenie jak gdyby mówiło do pasażera: — „uciekaj z tych miejsc! najmuj konie i jedź na wszystkie cztery strony świata". I bywało, lezie pasażer, gniotąc nogami glinę, po pionowej prawie pochyłości, lezie z całych sił, potykając się i ciężko dysząc. Dziś z dawnej prostoty nie zostało się śladu. Od „barży," na której wybudowano przystań parostatku, prowadzą do góry drewniane schody, dość strome; na nich w dwu miejscach u góry urządzono placyki z ciosowymi daszkami, pod którymi stoją ławki i stoły; na szczycie nadbrzeżnej góry stoi traktyernia. Wszystkie te dogodności zawdzięczają swoje istnienie miejscowemu restauratorowi, człowiekowi przedsiębiorczemu i sprytnemu, którego tutejsi starzy mieszkańcy pamiętają jeszcze, jak będąc chłopcem, biegał boso po ulicach i jakoś nagle, wcale niespodzianie, z prostego parobka stał się gospodarzem.

Opinia nie lubi tego człowieka, nazywa go złodziejem i pijawką. Powiadają, że uwiódł żonę swego gospodarza i wraz z nią go okradł; że był za to pod sądem, że nawet dotąd ciąży na nim zarzut; ale nie przeszkadza mu to wcale być tu pierwszym zawadyaką i żyć ze stanowym i tuzami-kapitalistami, których w L. jest dość wielu. Swą traktyernię urządził po wiejsku, z parobkami w białych koszulach i z kucharzem jednym z wymierających odłamków czasu pańszczyzny, który potrafił gotować nietylko „sielankę," ale i prawdziwe potrawy. Schodzi się tu kontyngens, przywożony codziennie statkami, nadto cały lud roboczy, snujący się od rana do wieczora po rynku i przy porcyi herbaty kończący swe wielkie interesy. Grzmi tu niedawno sprowadzona z Moskwy maszyna (czasem koczująca orkiestra żydowska). a w takt jej brzęku, śród duszności i pary kuchennej, załatwiają swe interesy „nowi ludzie" (oni też — kamienie węgielne) naszego czasu: przekupnie, lichwiarze, stręczyciele, pośrednicy, doradcy, fanciarze, spekulanci, leśnicy i t. p.

Razem ze mną wysiadł w L. młodzieniec, którego dostrzegłem jeszcze na statku. Raz ulokowawszy się na miejscu, do samego L. zachowywał się zupełnie milcząco. Wszedł do kajuty i rzucił się na kanapę. nie zażądawszy nawet kieliszka wódki — krok, którym, jak wiadomo, zaznacza przybycie swoje każdy, choć cokolwiek szanujący się pasażer rosyanin. Powierzchowność miał wcale przyzwoitą, a nawet dżentelmeńską; ubrany był w lekką kurtkę, a rzeczy miał bardzo nie wiele: małą torbę ręczną, torbę podróżną na pasku i pled. Na razie wziąłem go za jednego z poblliskich obywateli, jadącego w odwiedziny do sąsiada.

Wdrapując się na górę — zaczęliśmy rozmawiać.

— Pan tutejszy, jak się zdaje? — zapytał.

a następnie rozpłynąć po wszystkich kanałach jego życia. Oscylowanie między karczmą na wsi a sklepem lub kantorem bankierskim w mieście nie wróży im pomyślności.

Naturalnie od tych, do których głównie ta przestroga zwróconą być winna, nie spodziewamy się żadnych zmian, bo oni jej nawet nie usłyszą; ale usłyszeć ją mogą ci, którzy podjęli rolę apostolską w swem plemieniu. I teraz wszakże, jak poprzednio, pozostajemy przy tem przekonaniu, że jedynie siła prawodawcza mogłaby nietylko zasymilować żydów, ale także wyprzeć ich z tej sfery, która głównie jest ostrzeliwaną, a w której oni do spokojnego wyrównania stosunków ekonomicznych wcale się nie przyczyniają.

Dla ścisłości już tylko sformułujemy odpowiedź na postawione wyżej pytanie: przyczyną obecnych wybuchów przeciw żydom jest ich ekonomiczny stosunek względem żywiołów, dążących do wyzwolenia.

A. S.

OKÓLNIK MINISTRA OŚWIATY.

Nowy minister oświaty, baron Nikolai, wydał do kuratorów okólnik, uwiadamiający ich o zasadach, na których oprzeć się ma jego zarząd szkolny. Ze wszystkich tego rodzaju aktów jest to niewątpliwie najważniejszy i... nawięcej obiecujący. Przedewszystkiem uderza w nim chęć znajomości *miejscowych potrzeb* i *rozumnych żądań* społeczeństwa, wyjścia „z kancelaryjnej i formalnej ciasnoty.“ „Rząd — według ministra — uwzględnia troskliwie potrzeby, wypływające z najświętszych obowiązków względem dorastającego pokolenia.“ Taka jest podstawa, na której baron Nikolai rozwija swoje poglądy na instytucye szkolne wyższe, średnie i elementarne.

Co do uniwersytetów i wyższych zakładów naukowych minister przypomina, że głównym ich celem jest zajmowanie się nauką. Ustawa z r. 1863, zapewniająca im samorząd, winna posłużyć dla uśmierzenia żywiołów, odciągających młodzież z tej drogi. Jest to jedyne zadanie, które okólnik uwydatnia w tej autonomii. O korporacyach studenckich, które w ostatnich czasach były głównym przedmiotem domagań się i sporów, nie znajdujemy wzmianki. W tym więc kierunku nowy minister nie zapowiada żadnej radykalnej zmiany.

Zwracając się do szkół średnich, po określeniu warunków pedagogicznych nauczania, powiada: „Szkoła winna dostarczyć krajowi ludzi zdrowych umysłowo i fizyczenie. Nie suma wiedzy, wymagana przez nasze programy szkolne, jest zbyt wielką, lecz nierównomiernoność podziału zajęć szkolnych i brak dostatecznego w właściwym czasie odpoczynku mogą zadanie odpowiednie dla średniego poziomu przekształcić na zadanie, łamiące nawet bogato uzdolnione natury.“ Godnym również uwagi jest jeden ustęp, odnoszący się do szkół ludowych, w którym minister żąda, ażeby zwierzchność ich nie „ścieśniała samodzielności społecznej,“ lecz „szanowała ją i pobudzała.“ „Dyrektorzy i inspektorzy szkół ludowych, spełniając ściśle włożone na nich obowiązki, winni być przejęci uczuciem, że *służą* dobru ogólnemu, a nie *rozkazują* im.“ Panującą nutą w całym okólniku jest żądanie zawiązania węzłów między instytucyami wychowawczemi a społeczeństwem, wyprowadzenia pierwszych z martwego Olimpu kancelaryjnego i odrodzenia ich świeżymi prądami narodu. „Szkoła — mówi baron Nikolai — nie powinna odłączać ucznia od rodziny. Naczelnicy zakładów i nauczyciele winni życzliwie zachowywać się względem rodziców i ich rozumnych próśb, nienaruszających prawideł karności szkolnej.“

Cały program jest naturalnie trzymany w wyrażeniach ogólnikowych, niezaznaczających wcale zasadniczych różnic w miejscowych potrzebach, których dotychczasowy systemat nie uwzględniał, albo raczej, które chciał zetrzeć swą bezwarunkową jednorodnością. Przyznać wszakże trzeba, że każde „rozumne żądanie“ znajdzie w tym akcie pobudkę do objawienia się. Jak wiadomo, my mamy takich „miejscowych potrzeb“ i „rozumnych żądań“ bardzo wiele, których dziś nikt nie słucha a tem bardziej zadowolnić nie myśli. Pierwszem pragnieniem jest oparcie szkoły naszej na podstawach swojskich. Powtóre pragniemy, ażeby w zakres ukształcenia gimnazyalnego wprowadzone były te czynniki, które są niezbędne do rozwinięcia młodych umysłów i ażeby ukształcenie to przestało być bezpłodnym tresunkiem *par force* w greczyźnie i łacinie. Potrzecie, ażeby metoda wykładów nie była sztuką zakreślenia paznokciem w książce ustępów, przeznaczonych do wyuczenia się na pamięć, lecz umiejętną pracą nad wpojeniem w umysły dzieci potrzebnych wiadomości. Poczwarte, ażeby cały aparat arytmetyczny do subtelnego odważania mózgów ustąpił miejsca psychologicznemu ich badaniu. W końcu — co już sam minister wyraźnie zastrzega, ażeby szkoła nie wyczerpywała znękaniem wszystkich sił zdrowia młodzieży i ażeby dyrekrorowie i inspektorowie zrozumieli, że ich obowiązkiem jest nietylko „rozkazywać.“ Z wyrażenia wreszcie bar. Nikolaiego, że tyletylko „na pierwszy raz,“ wnioskujemy, że w następnych okólnikach dotknie on spraw szczegółowych a w ich liczbie znajdą się nasze „miejscowe potrzeby“ i „rozumne żądania.“

— O dwadzieścia wiorst stąd leży mój majątek.

— Pan jesteś autorem *Dobromyślnych pogadanek*?

— Tak.

— Czytałem!

Minęliśmy kilka stopni w milczeniu.

— Nie zupełnie pochwalam pański sposób pisania, — ciągnął dalej. Niejasny. Zmniejszenie cnót rodzinnych, nieposzanowanie cudzej własności, spaczenie pojęć o miłości ojczyzny... Naturalnie, jest to program bardzo wdzięczny, ale tu najważniejszym jest stosunek autora do tych kwestyj dnia. Czytając utwory pańskie, zdaje się, żeś pan nie żartem zagniewany na te „znaki czasu.“ Pan chciałbyś, żeby żony żyły z mężami w zgodzie, żeby dzieci były posłuszne rodzicom, a rodzice starali się wychowywać je w moralności; ażeby nie było ani kradzieży, ani oszustwa, ażeby każdy miał prawo stać w tłumie z roździawioną gębą, bez obawy o swój zegarek lub o swoją portmonetkę, ażeby, nakoniec, pojęcie o ojczyźnie było czyste, jak kryształ... czy tak?

— Pozostawiam panu, jako czytelnikowi, prawo wyprowadzania wniosków, jakie pan uznasz za stosowne...

— Czyli, innemi słowy, znajdujesz mnie, jak na pierwsze i wypadkowe spotkanie, nadto nie skromnym... Już milczę. Ale ponieważ, w każdym razie, powinno być panu najzupełniej obojętnem, czy skracać czas w restauracyi, w oczekiwaniu na konie, samemu, czy w towarzystwie, sądzę, że pan nie odmówisz wypicia ze mną herbaty. Mam tu pewien interes i ręczę, że spędzisz pan czas nie bez korzyści.

— Zgoda, ale pozwól pan przedtem...

— Sergiusz Iwanowicz Kołotow, do usług pańskich. Tutejszy isprawnik.

Spojrzałem nań z pewnem zdziwieniem.

— Rozumiem: dziwnem się panu zdaje, że taki, można powiedzieć, młokos, jak ja, dźwiga tyle nieodpowiednie siłom i zdolnościom jego brzemię, jakie się łączy z godnością isprawnika. Nie zapominaj pan jednak, że w dzisiejszych czasach żyjemy bardzo prędko i że w ogóle mądrość urzędnicza mierzy się dziś nie latami, ale raczej ścisłością, a nawet, że tak powiem, wrodzonością przekonań konserwatywnych, którym towarzyszy gotowość na pierwszy odgłos trąby rzucać się, gdzie oczy poniosą. My tu wszyscy, to jest cała wojująca biurokratyczna armia, wszyscy jesteśmy młodzieńcami i wszyscy—urodzeni konserwatyści. Są starsi młodzi-ludzie, są też i młodsi. Ja bo jestem isprawnikiem zaledwie odniedawna, a przedtem byłem przy starszym młodym człowieku, w charakterze młodszego młodego-człowieka, i wyznać muszę, święte wiodłem życie, gdyż obowiązki moje były nieskończenie łatwe. Leżałem na łonie mego pryncypała (jest on moim szkolnym kolegą, ale szczęśliwszym karyerowiczem ode mnie), opowiadałem mu konserwatywne powiastki, razem z nim marzyłem o lordach angielskich i stanach rządzących, w ogóle karmiłem go drukowanymi piernikami. Wkrótce jednak wszystko się zmieniło. Zaczęły wychodzić na scenę „kłamliwe tłomaczenia;“ wystąpiło „usposobienie umysłów,“ a stąd niedaleko przecie do „doctrines les plus détéstables....“ Słowem, potrzeba było „oka.“ Et, ma foi!... me voilà ispravnik!

Wypowiedziawszy tę oracyę, bystro spojrzał mi w twarz, jak gdyby chciał powiedzieć: a co, braciszku, nie przypuszczałeś, że w tej głuszy spotkasz tak interesującego i liberalnego towarzysza?

Domyśliłem się, że mam do czynienia z biurokratą najnowszego pokroju. Ale — rzecz dziwna — im bardziej wsłuchiwałem się w jego rekomendowanie samego siebie, tem bardziej zdawało mi się, że pomimo zewnętrznego pokroju, stoi przedemną zawsze ten sam miluchny Dzierżymorda, z którym kiedyś byłem w tak przyjacielskich stosunkach. Tak, właśnie Dzierżymorda! Wyczyszczony, przygładzony, który gotów o każdym czasie nawet rodzonego ojca zjeść z kaszą i napluć w oczy samemu sobie...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ

jako krytyk literacki.

(Władysław Syrokomla studyum literackie w *Bibl. Mrówki* t. 106 i 107; Wincenty Pol jako poeta w *Bibl. Mrówki* t. 108; Szekspirowska tragiczna historya o księciu duńskim Hamlecie; *Ateneum* z r. 1881, zeszyt I i II).

Krytyka utworów poezyi jest bezwątpienia gałęzią badania, w której bardzo trudno oprzeć się na jednej, ścisłej metodzie. Z natury swojej podlega ona daleko rozmaitszym falowaniom i zmiennościom aniżeli dziejopisarstwo, które wyrobiło sobie pewne ustalone sposoby oraz drogi badania i postaciowania swych pomysłów. Pominąwszy dyletantów albo smakoszów krytycznych, dla których jedyną miarą sądu jest stopień estetycznego użycia i przyjemności, jakiej doznali, widzimy u wielu poważniejszych badaczów literatury panującą od czasów Herdera zasadę opierania sądów poezyi na związku i wartości danego utworu w stosunku do rozwoju cywilizacyi danego społeczeństwa i całej ludzkości. Tą drogą da się osiągnąć krytyka literacka prawdziwie naukowa, wznosząca się ponad wszystkie rodzaje i kierunki, ponad wszystkie cechy czasowe, badająca jakość i charakter faktów twórczości poetycznej, poszukująca praw jej rozwoju *a posteriori*. Taka metoda, wsparta najnowszymi zdobyczami wiedzy, wyjaśniająca wewnętrzny związek i prawidłowość w powstawaniu utworów sztuki, czysto objektywna, badawcza, niemająca pretensyi do literackiego prawodawstwa, nietworząca reguł, ale poznająca prawa, może najbardziej podnieść krytykę do godności prawdziwie naukowej; ale trudność jej wykonania wobec utworów niedawnej poezyi jest ogromna, gdyż wymaga oddzielenia się badacza od wszelkich pojęć stronniczych, od sympatyi lub antypatyi, od rozważania utworów poetycznych ze stanowiska korzyści lub szkody, jaką one przynoszą. Zwykle więc w praktyce literackiej widzimy, że pomimo uznania dla historyczno-porównawczej metody, krytyka przywiązuje się z pewnem uprzedzeniem albo do pewnych kierunków i stylów poezyi, widząc w nich idealne modły tworzenia, albo do pewnych teoryj abstrakcyjnych, opartych na pomysłach metodycznego piękna a nie na rozważaniu faktów samej poezyi. Potrącam tu tylko przelotnie kwestyę podstawową stanowiska i metody krytycznej, nie rozwijając jej bliżej, o ile powyższe uwagi wydają mi się konieczne do oznaczenia zasadniczego rysu w działalności krytycznej dzielnego pisarza, którego głos zabrzmiał wśród dotychczasowego chóru naszych zoilów tonem dziwnie jędrnym, dosadnym a oryginalnym. Spasowicz w krytyce nie jest ani ścisłym, objektywnym badaczem, ani teoryzującym akademikiem, ale przeważnie krytykiem społecznym, powołującym utwory poetów niedawnej przeszłości przed trybunał chwili obecnej. W jego umyśle przedewszystkiem tkwi skala sądu o dziełach poetycznych ze względu na wartość, jaką mają dla umysłowych i społecznych zagadnień współczesności.

Widać to bardzo wybitnie w studyach o Polu i Syrokomli, które tak jaskrawo różnią się od wszelkich płodów naszego krytycyzmu duchem niepodległości wobec uświęconych powag. Piękne studyum o Hamlecie jest wykonane inaczej, w sposób bardziej objektywnie historyczny, chociaż i tu umysł Spasowicza wycisnął swe wybitne socyologiczne piętno w doskonałem uwydatnieniu kwestyj etyki i dynamiki społecznej, związanych z różnemi stronami szekspirowskiego arcydzieła. Taki kierunek i charakter krytycyzmu Spasowicza objaśnia się bardzo naturalnie logiką całej jego działalności, w której szczególne studya są jakoby chwilowem wytchnieniem po mozolnych trudach na niwie społecznej, jakoby świętem umysłowem, obchodzonem na kwiecistej łące poezyi.

W swej obronie krytyki przeciw deklamacyom maroderów idealizmu i frazeologów, gotowych zawsze do kadzenia wielkościom, Spasowicz stawia wysoko znaczenie tego sądu chwili obecnej, „jedynego możebnego trybunału zawsze otwartego i nieznającego prekluzyjnych terminów,“ nadając bardzo ważne dla krytyki zadanie: „porządkowanie skarbów twórczości poetyckiej, uprzątanie wszystkiego, co zużyte i przeżyte.“ Ona, podług Spasowicza, jest rękojmią umysłowej niezależności i samodzielności społeczeństwa wobec wielkich mocarzów myśli, których panowanie jest niesłychanie długie i mocne. Oczywiście tak pojęta krytyka nie jest w ścisłem znaczeniu tego wyrazu naukową, objektywno-historyczną ale raczej, że tak powiemy bieżącą, utylitarną, wpływową. Nietylko ma ona prawo bytu, ale jest konieczną nawet dla społeczeństwa naszego, w którem kult poezyi dochodzi nieraz do przesady, a jej duchowy dobytek wsiąka nieustannie w umysły. Nie bez powodu Spasowicz wziął za przedmiot swych studyów dwu poetów z okresu, jak nazywa, przejściowego, zamykających cykl rozwoju naszej nowszej twórczości potyckiej, w których wcieliła się odmiennie ta bezwzględna cześć dla tradycyi, dla przeszłości dziejowej, będąca nietykalnym dogmatem zamkniętej już doby duchowej rozwoju i dzisiaj jeszcze panującym nad wieloma umysłami.

Rzecz naturalna, że uczuciowy konserwatyzm Syrokomli, który kochał przeszłość miłością synowską, ale miał serce współczujące dla wielu nędz współczesności a głowę otwartą dla wielu jej żądań, że jego zespolenie demokratyczności z czcią tradycyi daleko sympatyczniej przemawiało do Spasowicza, aniżeli stwardniały w swym uporze, kastowością przesiąkły, nienawidzący nowożytnego ducha konserwatyzm Pola, w którym zbyt optymistycznie dopatrywał krytyk ukochanie tego, co wzniosłe i wielkie. Dla tego też, podług nas, postać Syrokomli wychodzi ze studyum Spasowicza daleko pełniej, a przedewszystkiem prawdziwiej, portret literacki staje się tutaj żywszym. Kreśląc wizerunek Syrokomli, krytyk przyjął słusznie metodę uwydatnienia łączności życia poety i prac umysłowych, którą świetnie pod wieloma względami wykazał, chociaż niedosyć ściśle trzymał się ram genetycznego rozwoju. Sam układ studyum świadczy, że krytykowi braknie cokolwiek pewnej harmonii w ogólnem ugrupowaniu znakomicie wykonanych części tej pracy. Na wstępie rzuca on tu jakby kontur portretu poety, który sam się przedstawił jako lirnik wioskowy, pozostał wierny wszystkim rysom tej charakterystyki aż do owego zaśpiewania się, które sobie tak poetycznie przepowiedział. Krytyk ukazuje następnie Syrokomlę jako ostatniego przedstawiciela szkoły litewskiej, a w stosunku do społecznego otoczenia i epoki—jako umysł nowatorski „przerastający jej intencye,“ niepodległy wobec przesądów kastowych, którym hołdowało tak bardzo jego otoczenie społeczne.

Następnie kreśląc biografię poety i potrącając o jego usposobienie religijne, jednym rzutem oka robi wycieczkę na całą jego twórczość, dając świetną i dokładną charakterystykę stanowiska poety wobec wiary i moralności, charakterystykę niezmiernie trafną, związaną w każdem niemal słowie z dziejami życia i umysłowego rozwoju. Następnie rzuca kilka śmiałych a niezmiernie szerokich poglądów na atmosferę umysłową doby, w której Kondratowicz się rozwijał, wyjaśnia charakter czci, jaką miał dla przeszłości i przyczyny, które go skłoniły do obrania niewłaściwej drogi poety historycznego. W tym ustępie pochód krytycznej myśli nie jest zupełnie jasnym, ale dalsze dwa zawierają znakomitą ze wszech miar charakterystykę wykształcenia umysłowego Syrokomli, jego pojęć historycznych; wyjaśniają niepowodzenie poety na dziejowym szlaku poezyi brakiem głębszego spojrzenia w przeszłość i niedostateczną siłą fantazyi w tworzeniu wielkich charakterów. Cała krytyka tego żywiołu tradycyjno-historycznego i wszystkich utworów Syrokomli jest świetną zwłaszcza pod względem okazania wartości dziejowej i społecznej postaci i pomysłów poety, oraz wyjaśnienia przyczyn błędów i bladego kolorytu, powlekającego wszystkie poematy i dramata Syrokomli, na wysoki ton nastrojone, począwszy od Karlińskiego a skończywszy na Margierze. Oceniwszy pierwiastki tradycyjne, wchodzące w skład talentu i działalności Syrokomli, krytyk następnie bada stronę żywotną, postępową, chce objaśnić, jak się godziły w poecie „tradycyjność z postępowością i zachowawczość w ideach z radykalizmem w czynie“ Ukazuje tedy najprzód jego uczucie demokratyczno-szlacheckie, niepodległość wobec tradycyi rodowych, satyryczność drwiącą z fumy pańskiej w dziurawych butach, jego wreszcie szczere, głębokie, serdeczne a humanitarne umiłowanie ludu, i główny nastrój umysłu poety, lubujący się w obrazach natury wiejskiej, stosunków prostych i miejscowych. Następnie krytyk w ocenie gawęd i komedyi Syrokomli akcentuje jego stanowisko w kwestyi włościańskiej, jako gorącego przyjaciela ludu, który bryzgał w oczy szlachcie, niepojmującej wówczas całej doniosłości wyzwolenia włościan z poddaństwa. Rozpatruje potem krytyk żywioł satyryczny i ironiczny, a zamyka całe studyum oceną poety w stosunku do postępowych dążeń, do atmosfery społecznej jego epoki, wykazując, że umysł jego ukochał tylko jasne strony tradycyi, że był otwarty na prądy ducha czasu, na społeczne potrzeby, że przejął z nowych idej wiarę w postęp i braterstwo ludzkości.

J. Kotarbiński.

(Dokończenie nastąpi).

NOWOCZESNE KIERUNKI MYŚLENIA.

Przed kilku już laty zjawiła się pod takim tytułem książka w języku norwegskim, która wydana po niemiecku [1]) zwróciła na siebie dopiero uwagę całego świata uczonych, tych mianowicie, którzy pracę swoją poświęcają przeważnie filozofii. Autor jej, M. P. Monrad, profesor filozofii przy uniwersytecie w Christyanii, zestawiając z sobą różne kierunki myślenia i systematy filozoficzne ostatnich czasów, stara się wyprowadzić wnioski: o ile każdy z tych kierunków znalazł zastosowanie w życiu społecznem, praktycznem i tym sposobem oddziałał na ideał powszechnego dobra—który, bądź co bądź, jest głównym celem życia—dodatnio lub ujemnie. Właściwie, dzieło jego jest szczegółowym wykładem i krytyką *pozytywizmu* w szerszem znaczeniu tego wyrazu. To, co Monrad nazywa pozytywizmem, objawia się bądź w wierze pozytywnej, w religii, bądź w zmysłowem doświadczeniu. Stąd ów pozytywizm rozpada się na dwie główne gałęzie: *prawą* i *lewą*, które, pozornie niby całkiem różne, są jednak sobie pokrewne. Za głównych przedstawicieli pierwszej, *prawej*, którą Monrad zwie gałęzią *religijną*, uważa: Schellinga, Kierkegaarda i Grundtviga.

Pozytywizm (religijny) Szellinga pobudził do publicznego wystąpienia duńczyka Kierkegaarda, który, według Monrada,

[1]) *Denkrichtungen der neueren Zeit.* Eine kritische Rundschau von M. P. Monrad, Bonn, Vebers.

jest jednym z najgłębszych i najoryginalniejszych myślicieli i „gdyby pisał w języku powszechniej znanym, byłby już oddawna, jako pisarz, znakomitością europejską.“ Kierkegaard utrzymuje, iż pomiędzy ideą a rzeczywistością znajduje się wieczna, niczem niedająca się zapełnić przepaść; że przeto żaden rozumowy, t. j. na samem myśleniu oparty systemat nie będzie w stanie nigdy osiągnąć praktycznych, *bytowych*, że tak powiemy, rezultatów. To też potępia on najzupełniej usiłowanie Schellinga — pojęcia chrześcianizmu za pomocą rozumowania. Dla Kierkegaarda bowiem chrześcianizm nie jest wcale żadną teoryą, ale tylko pewną formą bytową.

Wiara tylko sama — *credo quia absurdum est*—stanowi wszystko. Rozumowanie jest tu wprost przeciwnem istocie przedmiotu, i stąd to chrześciańskie t. z. *objawienie* słusznie objaśnianem i tłomaczonem ani być może, ani powinno.

Z kolei Monrad zastanawia się nad innym, bardzo również interesującym objawem w sferze filozofii, który także w Skandynawii, mianowicie w Danii i w Norwegii, grunt znalazł dla siebie i tam się w ostatnich czasach w znacznej mierze rozrósł, nad *grundtvigianizmem*. Twórca tej teoryi, Grundtvig, obrał za cel sobie mianowicie: nadanie świeżego, organicznego życia wierze, w przeciwieństwie do suchej ortodoksyi i mechanicznego wykładu religii. Pochop do swojej propagandy otrzymał Grundvig od niemieckiego romantyzmu; teorya też jego spoczywa głównie na poezyi i jest wynikiem więcej estetycznych, aniżeli praktycznych, czysto życiowych poglądów autora.

Stara się on przedewszystkiem traktować chrześcianizm jako poetyczny wykwit ludzkiego życia, poczęty na gruncie najpiękniejszych, najszczytniejszych dążeń ludzkich do ideału *piękna*.

Tyle co do pozytywnej religii.

Drugą połowę swego dzieła poświęca Monrad rozbiorowi i krytyce pozytywnych filozofów tej gałęzi, która główne dla siebie soki czerpie ze źródeł *doświadczenia* i objawów *faktycznych*, zmysłowych. Za przedstawicieli tego kierunku w Niemczech uważa Monrad, dość dziwnie, Straussa, Feuerbacha, Herbarta, Schopenhauera!! Ta krytyka Monrada, bardzo zresztą ścisła i obszerna, wypada ogółem na niekorzyść powyższych myślicieli.

Ciekawy jest pogląd Monrada na charaktery różnych narodów, oraz kierunki ich cywilizacyjne, które, zdaniem jego, stanowiły mniej lub więcej pomyślny podkład dla rozwoju filozofii, a więc i pozytywizmu.

Otóż Niemcy mają być w największej mierze skłonni do uprawy filozofii w życiu i w myśli. Monrad zwie tradycyjnie kraj ich „krajem filozofów;“ powiada, że „w najbardziej nawet szalonym ich tańcu około złotego cielca materyalizmu spostrzegać się daje owa powaga, prawidłowość i umiarkowanie w ruchach, które przypominają kapłaństwo ich z czasów dawniejszych.“ Francya pozostawała w epoce od Kanta do Hegla, podczas właśnie największego rozkwitu nowoczesnej filozofii, po za jej obrębem, zajęta wyłącznie prawie celami praktycznego życia, które w niej objawiało się gwałtownemi i politycznemi wstrząśnieniami, przeszkadzającemi najzupełniej do wejścia w siebie i do tych spokojnych refleksyj, które stanowią istotę filozofii. Wspomniawszy niewiele o Maine de Biranie, Wiktorze Cousinie i Saint Simonie, Monrad zatrzymuje się dłużej przy Auguście Comte'cie, ojcu pozytywnej filozofii, i przebiegłszy następnie również dość pobieżnie cały cykl szkoły tego ostatniego (Littré, Taine, Renan, etc..), zwraca się do filozofii angielskiej, jako do najprzychylniejszej, jego zdaniem, gleby, do nasion czystego pozytywizmu.

„W Anglii — powiada Monrad — oficyalny chrześcianizm w sztywnej formie *episkopalizmu* i angielska arystokracya ze swojemi tradycyami, są wewnętrznie pokrewne pozytywizmowi, są nawet istotnie pozytywistyczne. Życie praktyczne we wszelkich przejawach swoich było zawsze, zdaniem Monrada, najwyższym ideałem anglików; utylitaryzm jest ich bóstwem. „Ogólna idea, myśl sama o sobie, nie miała nigdzie mniejszej wartości.“ Nie dziw przeto, że Comte w Anglii najwięcej i najgorliwszych znalazł naśladowców. Stuart Mill stoi na ich czele. Monrad zatrzymuje się przy nim dłużej, krytykuje go z równą powierzchownością jak złośliwością, mówiąc, że w jego głównem dziele, *Systemacie Logiki*, brakuje tylko dwóch małych rzeczy: *systematu* i *logiki*.

Po tych raczej przygryskach niż poważnych sądach Monrad przedsiebierze jeszcze energiczniejszą wycieczkę przeciwko darwinizmowi, którego wszystkie najgłówniejsze dane uważa za zupełnie niepasujące do zasad prawdziwej filozofii, naturalnie z etykietą norwegskiego profesora.

Przytoczyliśmy treść tej książki nietylko dlatego, że ona jest świeżo przedmiotem naukowej uwagi, ale dlatego, ażeby dać czytelnikom próbkę nieznanej u nas filozofii norwegskiej. Rozbierać jej szczegółowo nie będziemy, gdyż idzie nam — mówiąc słowami Straussa—nie „o spór z myślącymi inaczej, lecz o porozumienie z myślącymi jednako.“

T. T.

KRUMIRZY.

Północ Tunisu zapełniają góry, zamieszkane przez plemiona kabylów, którzy w przeciwstawieniu do mieszkańców doliny, schylających kornie głowy pod jarzmo coraz to nowych najazdów, potrafili aż do dnia dzisiejszego zachować swoją niezależność, zarówno wobec arabów, jako i turków. Jednem z tych plemion są t. z. krumirzy [1]). Lud to rolniczy, przemysłowy i hanplowy, który nie mógł, ani nie może zmienić się kiedykolwiek w pastewny, jakim są sąsiedzi jego na płaszczyźnie.

Krumirzy nie mieszkają, jak plemiona koczujące, w namiotach, ale przeciwnie w kamiennych, mocno zbudowanych domach. Wioski ich, wieńczące stromych skał wierzchołki, przedstawiają dla oka nadzwyczajnie romantyczny widok. Najmniejsza osada ma tu swoją naturalną zasłonę w łańcuchu gór, stając się przez to małą fortecą, którą tylko szturmem zdobyć można. Wązka ścieżka, po której tylko zwierzęta stąpać zdolne, tak stroma często, że nawet muły pozostawiać trzeba na dole, prowadzi na wyniosłość. Często też można się dostać na tę ostatnią tylko zapomocą czołgania się i czepiania kamieni oraz krzaków górskich. Naturalnie, mur prawdziwy nie mógłby dać lepszej obrony przed napastnikiem. Gdy nieprzyjacielowi udało się już zdobyć wejście do wioski, wówczas musi jeszcze rozprawić się z meczetem, który dla napadniętych stanowi ostatni przytułek.

Proch strzelniczy krumirzy przygotowują sobie sami, przyczem saletra, siarka i węgiel nie proszkują się, jak u nas, osobno, lecz włożone razem w moździerz drewniany, drewnianym młotkiem rostłukują się w nim na piasek. Stosunek też ilościowy użytego materyału bywa przy tej operacyi dowolnym: jeden bierze więcej saletry, drugi siarki, a inny znowu węgla. Saletrę dobywają z przepłukiwanej ziemi, z gruntu starych domostw; węgla dostarczają drzewa laurowe lub inne, siarki — Tunis.

Wszystkie siedziby, należące do jednego pokolenia, łączą się w równej mierze tak w wojnie napastniczej, jako i obronnej. W tych razach, wszyscy i każdy z osobna, obowiązani są przy użyciu wszystkich sił, jakiemi rozporządzają, przyjąć udział we wspólnej akcyi przeciw nieprzyjacielowi. Wojna zewnętrzna jest nierzadko z tego powodu środkiem uśmierzającym zaburzenia wewnętrzne, podobnie jak w Europie W chwili największego wrzenia umysłów wymyśla się jakiś, o cokolwiek spór z sąsiadem — od czegóżby Algier był tak bli. sko? — i nagle pomiędzy ludźmi, którzy sobie przed chwilą jeszcze chcieli podrzynać gardła, rospoczyna się najpiękniejsza, najdoskonalsza zgoda.

Podczas wojny notable wybierają „amina.“ Obowiązkiem jego jest wspierać wodzów w ich strategicznych operacyach, uwiadamiać o liczbie zdolnej do noszenia broni ludności, komunikować roskazy i przeprowadzać oddziały na wyznaczone miejsca; on kontroluje ilość broni, wybrakowuje zepsutą i stara się o to, aby jej nie zabrakło; on jest wreszcie gospodarzem i opiekunem wojska: dostarcza prowiantu i rozdaje go, stając się przez to niejako szefem głównego sztabu i generalnym intendentem.

Każdy krumir obowiązany jest do służby wojskowej. W razie „wojny świętej,“ *marabuci* nawet, którzy w zamieszkach wewnętrznych zwolnieni są od udziału w bitwach, powinni chwytać za oręż na równi z innymi.

Każdy z wojowników obowiązany jest zaopatrzyć się w broń kosztem własnym, w worek do nabojów i w pewien ich zapas. Biednym dostarcza rynsztunku osada, do której należą. Na przypadek „wojny świętej“ dochody z meczetów idą na opatrunek wojskowy.

Skoro tylko wojna zostanie ogłoszoną, wszelkie prywatne niezgody cichną, prawo krwawego odwetu przymiera. Nikt nie powinien wówczas opuszczać kraju, i osobni wysłańcy ściągają nawet tych wszystkich, którzy już są po za granicami jego. *Djema*, tj. zgromadzenie wszystkich starszych wiekiem mieszkańców, zakupuje broń, amunicyę i żywność potrzebną. Ponieważ krumirzy obawiają się zawsze oblężenia w swoich wioskach, przeto każdy dom zaopatruje się w wodę i chowa bydło swoje w góry najbardziej nieprzystępne. Wszystko, co żyje, musi przyjąć udział w przygotowywaniu środków obrony. Dla zabezpieczenia się od nagłego napadu, każdą wioskę otaczają wałem. Domy strażnicze, opatrzone strzelnicami, restaurują się i wzmacniają.

Amin pokolenia oblicza ilość ludzi zdatnych do boju, określa siłę każdego stanowiska, oznacza godziny zmieniania się placówek, podaje hasło i ustanawia normę dziennej służby. Każde stanowisko porucza się zwierzchnictwu osobnego dowódcy, kierującego obroną. Bez pozwolenia tego ostatniego nikt nie ma prawa wydalać się ze swojej miejscowości, ani wyręczać się innym. Dowódca utrzymuje karność. Część wojowników, zwolniona czasowo od obowiązków służby, musi ciągle baczyć na to, aby na pierwszy znak podany lub gdy strzał pierwszy padnie, stawić się zaraz na wskazanych stanowiskach.

Ogólny zarząd sprawami wojny spoczywa w ręku „zgromadzenia obrony,“ składającego się z ludzi, którzy sobie zdobyli

[1]) Szczegółowy ich rodowód jest taki: jednym ze szczepów rasy *śródziemnej* są *hamici*, rozłamujący się na dwie gałęzie: *berberów* (staroegipcyan) i afrykańczyków wschodnich. Do pierwszych, pominąwszy wygasłych guanchów, należą: maurowie, numidyjczycy i getulowie starych geografów, znający już ogólną nazwę tych ludów: amazyki lub mazyki (Marocco). Berberowie w Algierze nazywają się *kabylami* (*gabâil* pokolenia), których odnogą są właśnie mieszkający w obrębie Tunisu krumirzy—plemię tak drobne, że o nim nawet takie etnologie, jak Peschla, Müllera, wcale nie wspominają *(Red.)*.

bohaterstwem pewną sławę. Zgromadzenie to mianuje dowódców, mających ludność kraju wieść w ogień bojowy; ono układa plan kampanii i kieruje stanowczo ruchami oddziałów; gdy okaże się potrzeba „funduszów dodatkowych,“ ma prawo zupełnie nieograniczone do zaciągania pożyczek, z warunkiem tylko wytłomaczenia się z ich użycia po zawarciu pokoju.

W razie poważnego zagrożenia kraju ze strony nieprzyjaciół, formują się oddziały młodych bojowników, ofiarujących się na śmierć za ojczyznę. Przysięgają oni na księgi święte wobec całego zgromadzenia ludu, że żaden z nich drugiego śród boju nie opuści i że nie dając, ani przyjmując pardonu, każdy z nich walczyć będzie aż do wyzionięcia ducha. Nad takimi, gdy już wyciągają w pole, *marabuci* odmawiają modlitwy za umarłych.

Kiedy walka odbywa się zdala od wioski, wówczas wyznaczony osobny oddział ludzi ma obowiązek przenoszenia do niej na tragach rannych i poległych. Używają się do tej posługi słabsi z pomiędzy krajowców, i ci, którzy na broń własną zdobyć się nie mogli. Ranni oddają się pod pieczę swoich rodzin, jakkolwiek wielkiej od nich nie doznają troskliwości; sama właściwie natura leczyć ich musi. Poległych grzebie ludność z wielką uroczystością; ci, którzy padli na „wojnie świętej,“ nie idą do grobu *obmyci*, jak tego wymaga zwykły obrządek, ale w tych samych okrwawionych szatach, w jakich śmierć ponieśli, aby te przed Allachem świadczyć mogły o ich pobożnem męczeństwie za sprawę Islamu.

Kobiety nie zostają także bezczynne podczas wojny: leją kule, przygotowują rynsztunek i prowiant potrzebny. Nierzadko też, przystrojone świątecznie, zjawiają się na polu walki... Krzyk ich donośny słychać śród szczęku oręża, a pieśni bojowe, które śpiewają, podżegają do najwyższego stopnia odwagę walczących.

Wpadłego w ręce swoje nieprzyjaciela oszpecają krumirzy w najstraszliwszy sposób (zwyczaj zresztą właściwy wszystkim barbarzyńskim ludom). Uniesieni szałem fanatyzmu dopuszczają się na jeńcach swoich najbardziej wstrętnych okrucieństw, a trupy nieprzyjacielskie znieważają nad wszelki wyraz.

Łup wojenny należy zwykle do jednostki — pewne jednakże przedmioty stają się własnością całej wsi, a do tych zaliczają się przedewszystkiem trzody, które cała ludność potem pielęgnuje.

Głównie idzie krumirom o tę tradycyonalną niezależność, którą umieli utrzymać dotąd przeciwko wszystkim zdobywcom Afryki. To właśnie plemię, sąsiadujące z Algierem a zostające pod władzą beja Tunisu, nominalnego lennika Turcyi, postanowili francuzi ukorzyć i... opanować. Ze sprawozdań politycznych *Prawdy* znają już czytelnicy wynik tej walki z... trudnościami gruntu; dodamy więc tylko, że podczas gdy większa część narodów europejskich bardzo ostro popieprzyła francuzom owoc tego zaboru, Niemcy osłodzili go zapalczywie. Powód prosty. Raduje ich zwrócenie się nieprzyjaciołki ze swemi pożądaniami w każdą inną stronę, nie wschodnią. Ze szczególnym też naciskiem powtarzają przestrogę słynnego ekonomisty Leroy-Baulieu'go, który marzenie o pochodach na wschód nazwał patryotyczną chimerą.

B. A.

KORESPONDENCYE PRAWDY.

Z PETERSBURGA.

Niemałego naprawdę potrzeba dziś wysiłku woli, aby się przenieść ze sfery polityki, samowładnie panującej nad nami, w zapomniane rzeczpospolite literetury lub sztuki. Za najlepszy tego dowód mogą służyć niemal puste salony Akademii Sztuk Pięknych, pomimo iż umieszczone w nich obrazy i rzeźby ciekawszy niż zwykle obiecują widok, gdyż mają przedstawiać nietylko obecny stan sztuki rosyjskiej, lecz rozwój jej ogólny wciągu ubiegłego dwudziestopięciolecia. Rosyanie jednak zanadto pochłonięci są chaosem życia realnego, żeby się mogli zainteresować dziś chociażby najrealniejszą sztuką, jaką właśnie usiłuje być ich sztuka ojczysta. Większość publiczności, odwiedzającej zazwyczaj wystawy, śledzi pewnie z niepokojem poruszenia mas na południu, napróżno dotąd starając się rozwikłać ich bliższe powody, — gdyż przyczyny głębsze są mniej więcej jasne, — a także przewidzieć ich możliwe granice.

Znaczny upadek kursu rubla i papierów rosyjskich na giełdach zagranicznych po 29 kwietnia i choroby trzech ministrów (pp. Loris-Melikowa, Abazy i Milutina) nie małe też sprawiają wrażenie, podsycane jeszcze zaaresztowaniem lejtenanta Suchanowa, oficera marynarki, oskarżonego o czynny udział w katastrofie 13 marca i dostarczenie spiskowym dynamitu ze składów rządowych.

Są zresztą i tacy politycy zawzięci, którzy bodaj czy nie najwięcej zamyślają się nad sprawami bulgarskiemi i z przyzwyczajenia zapewne zwracają zwrok swój na hr. Ignatiewa. Odkładając do przyszłego listu bardziej szczegółowe zastanowienie się nad chwilą obecną, przenoszę się w spokojną atmosferę Akademii Sztuk Pięknych.

Wspaniały na zewnątrz jej gmach zawiera w sobie mnóstwo obszernych i małych salonów ze ścianami, okrytemi kopiami z obrazów wielkich mistrzów włoskich i innych szkół europejskich, wykonanych po większej części przez stypendystów zakładu podczas ich kształcenia się za granicą. To też mamy tu piękne kopie wielkich fresek Rafaela, pędzla znakomitego Brüllowa. Prócz kopij lepsze obrazy uczniów Akademii i utwory ich konkursowe zdobią także ściany salonów. Piękna galerya obrazów hr. Kuszelewa-Bezborodko, zawierająca w sobie wiele prawdziwych klejnotów malarzy europejskich, mieści się także w Akademii. Dziś jednak wchodzę wprost do salonów wystawy. Pierwszy z nich zawiera w sobie rzeźby. Większość ich znaczna wyszła niedawno z pod dłuta i wyszła zupełnie inną, aniżeli utwory dawniejsze, mieszczące się tuż obok. Jakże się różni naprzykład styl owego sławnego niegdyś św. Jerzego prof. Pimenowa, traktowanego niewolniczo-klasycznie, od stylu młodego, a tak już znakomitego artysty — p. Antokolskiego! Realizm form łączy się u niego harmonijnie z idealizmem treści. Cecha ta jego prac mniej się odbija w utworach wystawionych obecnie, aniżeli w innych, jak w Chrystusie przed Piłatem i umierającym Sokratesie. Iwan Groźny, pierwsze znakomite dzieło artysty imponuje i teraz całej marmurowej i spiżowej rzeszy. Prawdziwą grozą przejmuje oblicze siedzącego mocarza zatopionego w zadumie, ewangelia zsuwa mu się z kolan, a wyobraźnia daleko podąża gdzieś za oblanemi już krwią ofiarami, lub pastwi się może nad przyszłemi; za chwilę ręka wyciągnie się po kij żelazny stojący przy boku i zawiśnie nad tłumem karnym bojarów i ludu. Energia i ponura moc stanowią główne cechy tego utworu; trudno wierzyć naprawdę, żeby to samo dłuto było zdolne przejść do takiej rzewnej i łagodnej elegii, jaką widzimy właśnie w medalionowej wypukło-rzeźbie, przedstawiającej młodego i chorego artystę, odtwarzającego słabnącą ręką w swoim albumie zaledwie budzącą się wiosnę, — ostatnią w jego życiu. Dziwna delikatność obrobienia i miękość konturów składają się na wdzięk przedziwny, naturalny, niezawierający w sobie żadnego sentymentalizmu.

Głowa Mefistofolesa różni się od wszystkich Mefistofelów, których dotąd zdarzało mi się widzieć; typ ten, pojęty widocznie czysto filozoficznie, utracił wszystkie cechy, zbliżające go z pojęciem ludowem dyabła. Mniej widać tu przebiegłości i dowcipu — więcej potęgi rozumu. Charakter jego taki staje się jeszcze wybitniejszym w porównaniu z Mefistofelem prof. Ławereckiego, znajdującego się w tej samej sali. Posąg ten z zielonkawej terra-cotty należy do liczby lepszych utworów p. Ławereckiego, zajmującego wysokie stanowisko w bardzo nielicznym rzędzie rzeźbiarzy rosyjskich; iskry dowcipu sypią się z oczu eleganckiego ducha, więcej może jednak przypominającego Gounoda, aniżeli Goethego. Biust starego żyda ma wiele zalet w wykonaniu.

Jednym z najzdolniejszych przedstawicieli akademickiego rzeźbiarstwa rosyjskiego jest profesor Popow, którego Fryne pociąga ku sobie uwagę powszechną, i rzeczywiście tradycye klasyczne odzwierciadliły się w niej najbardziej może dodatnio. Naprzeciw wysmukłej, śnieżnej Fryny widzimy bronzowego gladyatora, wchodzącego na arenę zda się krokiem zwycięzcy, choiaż z ust jego leci pozdrowienie: „Ave, caesar *morituri* te salutant.“ Strona fizyczna, mięśniowa przepyszna, nie zasłoniła tu sobą piękna i historyi; artysta widocznie nietylko studyował naturę, ale potrafił się przejąć życiem starożytnych. Posąg ten wyszedł z pod dłuta p. Welońskiego.

Nie mając czasu dłużej się zatrzymywać nad innymi utworami, różnolitej treści i stylów, z widoczną przewagą jednak realistycznego, przejdziemy na prawo do obszernego salonu wystawy — obrazów. Na początku już uderza nasz wzrok płótno dość wielkich rozmiarów, na którego pierwszym planie widzimy kilku ludzi o twarzach, ogorzałych i spoconych okrytych lichą odzieżą, zaprzężonych w opłatający ich piersi szeroki pas rzemienny. Pochyleni naprzód, ciągną oni z nieludzkiem prawie natężeniem, na samym brzegu wielkiej rzeki, statek ładowny zbożem zapewnie. Rzemiosło to najcięższe ze wszystkich, praktykowane nad Wołgą i znane pod imieniem „ciągnięcia łamki.“ Ludzie zaś oddający się mu noszą nazwę „burłaków.“ Taki sam tytuł nosi obraz p. Riepina, głośny w historyi sztuki rosyjskiej.

Od czasu zjawienia się swego (w 1873 r.) stał się on prawie ideałem dla młodych malarzy rosyjskich, oddawna już szukających drogi właściwej a samodzielnej a schodzących dziś, z bardzo nielicznymi wyjątkami, na grunt realistyczny. Jeżeli świetnie malowany obraz p. Riepina uważany jest przez niektórych krytyków za przesadzony, tem bardziej dałoby się to zastosować do utworów innych malarzy, mających więcej tendencyj niż talentu a zwłaszcza umiejętności, jak np. p. Żurawlew, autor *Błogosławieństwa Narzeczonej*, *Słypy kupieckiej* i innych. Bez porównania bardziej utalentowanym malarzem jest p. K. Makowskij, władający też niezwykle świetną techniką; na szczególniejszą uwagę zasługuje obrazjego *Zapusty w Petersburgu*, przedstawiający plac widowisk ludowych. Przed takzwanemi „bałaganami“ stoi tłum ludu, tak charakterystyczny i prawdziwy, że więcej daje pojęcia o rosyanach, aniżeli wszelkie wystawy etnograficzne i książki. Kupce i kupcowe, emeryci i drobni urzędnicy, młodzież ucząca się, włościanie, drobne mieszczaństwo, element wojskowy, — ruszają się tu, gapią i gwarzą, nie zważając na mróz tęgi, na powietrze prawdziwie petersburskie Słońce jasno świeci, co prawda, ale dymy z kominów jak słupy stoją w powietrzu. Obraz ten słusznie jest uwa-

żany za jeden z najznakomitszych utworów sztuki rosyjskiej, to też jest cenionym nietylko przez rodaków artysty, ale i przez cudzoziemców. Londyn szczególnie się nim zachwycał.

Uroczystość Dywanu świętego w Kairze pysznie się przedstawia także pod względem kolorytu postaci uczestniczących w procesyi; szał fanatyzmu dochodzący do upojenia i ekstazy wybornie tu jest oddany.

Nieswojskie temata uprawia p. Budkowski, z którego obrazków przyjemne wrażenie sprawia *Paź z listem* i *Ofiara*.

Elegancki pędzel p. Rizzaniego uwydatnił się w dobrej rzeczy *Oberża we Frascati*.

P. Jacobi, malarz historyczno-rodzajowy, wystawił znane płótno przedstawiające *Dom lodowy*, epizod z panowania cesarzowej Anny. Błazen nadworny, książe Golicyn i karlica, zaślubieni sobie, zamarzają w pałacu lodowym, gdy tymczasem tłum wystrojonych kobiet i dworaków bawi się w około nich. Malowanie staranne, koloryt może za jaskrawy.

Malarstwo historyczne nie miało dotąd w Rosyi prawdziwie utalentowanych a samodzielnych artystów, najlepszym dowodem tego może służyć obraz prof. Pleszanowa *Śmierć cesarzewicza Dymitra*.

Prócz tego gałąź ta malarstwa jest reprezentowaną przez dwa wielkie płótna prof. Willemolde: *Wjazd Cesarza do Moskwy na koronacyę w 1856 i Cesarz Aleksander I w obozie baszkirów pod Paryżem w 1814 r.*

Batalista Kotzebue jest autorem kilku wystawionych obrazów, pomiędzy którymi większą ma wartość: „Przejście wojsk rosyjskich przez Most Dyabelski w Szwajcaryi."

Siemiradzkiego *Zaufanie Aleksandra Macedońskiego do swego lekarza*, obraz namalowany przez niego w 1870 r. zapowiada świetnie późniejszego artystę.

W sąsiedztwie z obrazami treści historycznej widzimy religijny *Jawnogrzesznicę* Siemiradzkiego. Jest on zanadto znanym, aby potrzeba było o nim pisać; powiem tylko, że i teraz budzi najwięcej zajęcia.

Widzimy także kartony akademickie Siemiradzkiego: *Rzeź młodzianków* i *Zstąpienie do piekieł*, całkiem różne od pomieszczonych obok kartonów prof. Bruniego, traktujących przedmioty religijne w byzancko-symbolicznym stylu.

W jednym z saloników bocznych umieszczono niezmiernie zajmującą galeryę szkiców malarza M. Iwanowa, zmarłego w 1857 r. Z po za artysty wszędzie przegląda niespokojny duch człowieka, szukającego przez połowę życia drogi do prawdy i ideału, a w końcu tracącego wiarę w sam ideał. Tragiczną jest historya wewnętrzna tego artysty, który zaczął tworzyć swe arcydzieło: *Pierwsze zjawienie się Mesyasza* z głęboką wiarą w niego i jego bóstwo, kilkanaście lat marzył o nim, a w końcu nie w stanie był wykończyć zupełnie ukochanego utworu, gdyż Strauss, filozofia i wpływ Herzena zrujnowały świat jego dawny, nie dając mu nic innego. Złożył więc pędzle i powróciwszy do kraju, umarł prawie nagle. Oryginał obrazu *Cesarz Aleksander II* darował Muzeum Moskiewskiemu. Wyobraża on chwilę ukazania się Chrystusa przy ostatnich słowach przemówienia Jana Chrzciciela (oto baranek boży) do ludu zebranego nad Jordanem. Typy Chrystusa, Jana Chrzciciela i inne stworzone są całkiem przez samego artystę i odznaczają się szczególną pięknością wyrazu, mianowicie zaś Jan.

Malarstwo krajobrazowe, liczące teraz dość znaczną liczbę przedstawicieli utalentowanych, niebardzo świetnie jednak popisuje się na obecnej wystawie. Tak naprzykład widzimy jeden tylko obraz prof. Szyszkina *Las sosnowy*, za to prof. Bogolubow wystawił kilka płócien, pomiędzy którymi zwraca większą uwagę *Moskwa*. Prof. Orłowski przysłał jeden tylko niewielki obrazek *Krym*, przypominający słabo świetny pędzel i głęboką prawdę utworów artysty. Śliczny krajobraz letni p. Kraczkowskiego, z niecierpliwością każe oczekiwać dalszych kompozycyj młodego malarza.

Zatrzymując się tylko przed wybitniejszymi utworami, opuszczam mnóstwo innych, trudno jednak nawet z całej ich ilości wyciągnąć jaki wniosek ogólny a nieomylny o rozmaitych fazach sztuki rosyjskiej w ciągu lat 25, gdyż potrzebaby na to innego planu wystawy. Dziś brak wniej wielu dzieł charakterystycznych, gdy natomiast widzimy wiele innych, pod żadnym względem niezasługujących na uwagę.

W każdym jednak razie, widzimy wszędzie dowody walki z rutyną i skłonność przeważną do realizmu. Technika zbytecznie jednak stoi na zawadzie dobrym chęciom.

B.

Z MOSKWY.

Święta wielkanocne z powodu żałoby przeszły w tym roku w Moskwie bardzo cicho, a jedynem ich znamieniem była tylko większa niż zwykle ilość pijanych spotykanych na ulicy; moskwicin bowiem uważa sobie niejako za obowiązek upić się podczas świąt do bezprzytomności. Usiłowania, mające na celu zaniepokojenie umysłów, doprowadzały niekiedy do komicznych epizodów. Moskiewski oberpolicmajster miał otrzymać list bezimienny z groźbą, że jeden z większych tutejszych klasztorów żeńskich (Strastnoj monastyr) 20 kwietnia zostanie wysadzony w powietrze. Oberpolicmajster zakomunikował niezwłocznie treść listu przełożonej, co wywołało naturalnie ogromny popłoch w klasztorze. Doniesiono metropolicie, bawiącemu w Petersburgu, o grożącem klasztorowi niebezpieczeństwie i zarządzono najściślejszą rewizyę. Wszystkie zakątki klasztoru, a głównie piwnice, zostały najstaranniej zbadane, a szczególniejszą uwagę zwrócono na maleńki sklepik, mieszczący się w jednem z zabudowań klasztornych, z obawy, czy nie ukrywa się tam przypadkiem drugi Kobozew; ale nigdzie nie znaleziono nic podejrzanego. Jeden tylko z posługaczów klasztornych obudził ku sobie nieufność ponurym wyrazem twarzy i został natychmiast wydalony. W wigilię strasznego dnia przez całą noc nikt w klasztorze oka nie zmrużył; wszyscy z biciem serca oczekiwali okropnej katastrofy. Nagle wbiega do przełożonej jedna z zakonnic, blada śmiertelnie, z oznajmieniem, że już daje się słyszeć łoskot podziemny. Trwoga nieopisana ogarnęła wszystkich, ale rzec cała wyjaśniła się wkrótce w sposób bardzo prosty. Stróże sąsiednich domów oczyszczali właśnie ulice przyległe z lodu, a uderzając okarami o bruk, wydawali ów odgłos, który tak przeraził biedne zakonnice. Zresztą owa noc fatalna przeszła zupełnie spokojnie.

Otwarta od kilku dni, przy tutejszej szkole sztuk pięknych, 9-ta z kolei tak zwana przenośna wystawa obrazów (peredwiżnaja wystawka kartin), nie odznacza się wcale zbytniem bogactwem. Najwięcej, bo aż kilkanaście płócien, nadesłał znany malarz Makowskij. Załuguje z nich na uwagę pełen prawdy życiowej niewielki obrazek *Krach* i drugi, większych rozmiarów, przedstawiający wnętrze pracowni samego artysty. Z pomiędzy mnóstwa krajobrazów, Briulowa, Kisielewa, Wołkowa i innych, pierwsze miejsce zajmuje prześliczna *Noc* Briulowa, dająca nam widok parku, oświeconego światłem księżyca. Z portretów widzimy wizerunki: Botkina i Samojłowa, pędzla Kramskiego. Jest tu jeszcze parę obrazów historycznych Newrewa i Surikowa, zresztą po większej części obrazki rodzajowe rozmaitej wartości.

Cechą obecnej wystawy jest wogóle brak charakteru. Przewagę mają tu krajobrazy i portrety, a także obrazy treści rodzajowej, t. j. te gałęzie malarstwa, gdzie zasługa artysty polega głównie na dokładnem skopjowaniu i pochwyceniu żywcem natury. Malarstwo historyczne i religijne, dające daleko więcej pola twórczości artysty, bardzo słabo jest tu reprezentowane, a i tych kilka obrazów, jakie spotykamy, nie odznacza się głębszym pomysłem. Weźmy np. pracę Rurikowa: *Egzekucya strzelców*. Jest to płótno największych rozmiarów na wystawie i zapewne z tego powodu ściąga ku sobie najwięcej publiczności. Przedstawia ono właściwie nie samą chwilę spełnienia wyroku, ale raczej pożegnanie strzelców, osądzonych na śmierć, z ich rodzinami. Rzecz dzieje się obok Kremlu, na tak zwanym „Czerwonym placu," który był świadkiem wszystkich ważniejszych wypadków w historyi Rosyi. Na pierwszym planie widzimy szereg wozów, na których przywieziono strzelców skazanych na stracenie. Ubrani oni w białe koszule i w ręku mają zapalone świece. Wokoło nich kupią się zrozpaczone żony, matki i dzieci. Grupa ta zajmuje cały środek i lewą stronę obrazu. Po prawej stronie ukazuje się nam na koniu niewzruszona postać Piotra Wielkiego, otoczona orszakiem dworzan we francuskich strojach. W głębi widnieją szubienice. Całość robi wrażenie przykre i nieokreślone zarazem; przykre z powodu swojej treści, nieokreślone dla braku jasnej myśli przewodniej. Patrząc na ten obraz, trudno sobie zdać sprawę, po czyjej stronie są sympatye artysty i co właściwie chciał on tu wyrazić.

O wiele wyższym pod względem poczucia artystycznego jest rzeźbiarz Antokolski, którego statuę: *Chrystus przed sądem narodu*, mieliśmy niedawno sposobność oglądać. Statua ta zajmowała jedno z wybitniejszych miejsc na ostatniej wystawie paryskiej, gdzie była nagrodzoną złotym medalem. Pozyskała ona artyście szeroki rozgłos za granicą i kupiona została na własność przez mieszkańca Moskwy, p. Mamontowa, który podczas świąt wystawił ją w swojem mieszkaniu na widok publiczny. Chrystus przedstawiony z przywiązana nemi silnie do bioder rękami, z głową nakrytą maleńką żydowską czapeczką, z pod której wybiega kilka pukli włosów. Wzrok skierowany przed siebie; głęboka, ale cicha boleść maluje się na twarzy męczennika. Odbija się tam i czysto fizyczne zmęczenie po nocy spędzonej w katuszach i cierpienie moralne, wywołane najgrawaniem się tego samego ludu, którego szczęście było celem jego życia, a ponad tem wszystkiem panuje niewypowiedziana łagodność i rezygnacya.

Na zakończenie niech mi wolno jeszcze będzie powiedzieć kilka słów o istniejącem w Moskwie towarzystwie rozpowszechnienia pożytecznych książek *(Obszczestwo rasprostranienia poleznych knig)*, które właśnie ukończyło niedawno 20-ty rok swojego istnienia. Towarzystwo to działa obecnie za pośrednictwem dwu komisyj, z których jedna ma na celu urządzanie popularnych odczytów, druga zasilanie książkami szkół ludowych. W ciągu 20-letniej czynności wydało ono książek i broszur, oryginalnych i tłomaczonych, około 350. Niektóre wydania drukowane były w 3-ch, 6-ciu, a nawet 10.000 egzemplarzy. Ogółem wydano do 1,200,000. Wiele edycyj rozprzedano zupełnie; niektóre książki doczekały się dwu, a nawet trzech powtórzeń. Większość wydawnictw opatrzoną jest rysunkami. Obok staranności zewnętrznej, książki te odznaczają się taniością. Niewielu z nich cena dochodzi do rubla; większość kosztuje od 5-ciu do 50 kop., a wiele książeczek i broszur sprzedaje się po jednej, dwie lub trzy

kopiejki. Tak nizka cena możebną jest tylko z powodu, że towarzystwo nie szuka tu własnych korzyści. Zysk otrzymany ze sprzedaży, po pokryciu kosztów druku, użyty jest na nowe wydawnictwa, jako też na honorarya dla autorów i tłómaczów. Celem towarzystwa jest wydawanie książek i broszur głównie dla dzieci i ludu; jednocześnie stara się ono przychodzić z pomocą ludowym szkołom w zaopatrywaniu ich bibliotek swemi taniemi wydawnictwami, a wielu biedniejszym z nich wysyła książki bezpłatnie. Stały fundusz towarzystwa stanowią jedynie wydawnictwa. Pieniądze, pochodzące ze sprzedaży książek, ze składek członków, które wynoszą 10 rs. rocznie, jak również z ofiar prywatnych, obracane są niezwłocznie na wydawanie nowych dziełek. W ogóle towarzystwo wyłożyło na wydawnictwa przez cały czas swego istnienia około 100,000 rs. Od dwóch lat posiada ono własną drukarnię i litografię, które zostały nabyte kosztem prezydującej pani Strekałowej i ofiarowane przez nią towarzystwu. Drukarnia ta i litografia zajmują obecnie około 40 robotników. Niedawno wyszedł bardzo starannie wydany ilustrowany katalog książek towarzystwa, kosztujący 50 kop.

Ach, czemu my, w Warszawie takiej instytucyi nie mamy?

D.

WYKŁADY PUPLICZNE

(w Resursie Kupieckiej).

IV.

Po p. Kontkiewiczu, który, jak sobie zapewne czytelnicy przypominają, mówił o epoce lodowców, w czwartym z kolei odczycie zajął głos p. Antoni Ślosarski i mówił o tak zwanych przedpotopowych zwierzętach, a uwzględniał głównie te, których szczątki znajdują się na ziemiach polskich. Z jednej strony obfitość materyału, który koniecznie uwzględnić należało, z drugiej zaś uwaga na konieczną popularność odczytu, nie pozwoliły p. Ślosarskiemu wchodzić w szczegóły anatomicznej budowy opisywanych zwierząt; suche więc wyliczenie osteologicznych cech zastąpił on przedstawieniem okazów szkieletów, których olbrzymie rozmiary i potworne kształty mogli słuchacze poznać doskonale zarówno z przedstawionych im zbiorów i przepysznych fotografij, będących własnością p. Zawiszy, jako też z obrazów idealnych, ukazywanych w przezroczu.

Powiedziawszy, jakie zwierzęta były dawnemi mieszkańcami obecnych naszych siedlisk[1]) i pokazawszy okazy każdego z tych dawnych mieszkańców naszych okolic, p. Ślosarski zastanowił się nieco obszerniej nad znaczeniem jaskiń dla przyrodoznawstwa epoki lodowej i pokazywał ich rysunki, oraz wyliczał znalezione w nich bogactwa.

[1]) Wyliczamy tu za p. Ślosarskim przedstawicieli fauny diluwialnej zwierząt ssących naszego kraju; jest ich 24, a mianowicie: 1. Niedźwiedź jaskiniowy (*Ursus speleus*). 2. Hyjena jaskiniowa (*Hyaena spelea*). 3. Lew jaskiniowy (*Felis spelea*). 4. Lis biały v. północny (*Canis Lagopus*). 5. Lis zwyczajny (*Canis vulpes*). 6. Wilk (*Canis lupus*). 7. Rosomak (*Gulo*). 8. Borsuk (*Meles taxus*). 9. Wydra (*Lutra vulgaris*). 10. Zając bielak (*Lepus variabilis*). 11. Zając szarak (*Lepus timidus*). 12. Bóbr (*Castor fiber*). 13. Leming (*Lemmus norvegicus*). 14. Mamut (*Elephas primigenius*). 15. Nosorożec włochaty (*Rhinoceros tichorhinus*). 16. Dzik (*Sus scrofa*). 17. Koń (*Equus coballus adamiticus*). 18. Tur (*Bos primigenius*). 19. Zubr kopalny (*Bos priscus*). 20. Renifer (*Cervus tarandus*). 21. Jeleń z olbrzymiemi rogami (*Cervus megaceros*). 22. Jeleń zwyczajny (*Cervus elaphus*). 23. Sarna (*Cervus capreolus*). 24. Łoś (*Cervus alces*).

Odczyt cały, traktowany jasno i spokojnie, mógł służyć i niewątpliwie służył za jasny dowód, w jaki to sposób sumienne badanie pojedyńczych szczegółów może utworzyć wspaniałą całość wiedzy i jaką drogą rozproszone badania oddzielnie znajdywanych kości i ich ułamków mogły posłużyć do wytworzenia tak dokładnej znajomości fauny minionych czasów, jaką istotnie przedstawia dzisiejsza paleontologia, i co więcej, dać nam dokładne pojęcie o klimacie epok minionych.

V.

Nadzwyczajnem bogactwem treści odznaczał się dwugodzinny blizko odczyt Dr. Dudrewicza z dziedziny archeologii, popierany licznemi okazami ze zbiorów prelegenta, oraz bardzo pięknie wykonanemi rysunkami rozmaitych narzędzi i okazów, rzucanemi na zasłonę w przezroczu. Niepodobna nam jest notować tutaj treści odczytu, gdyż ze względu na wielką liczbę poruszonych faktów należałoby chyba całą pogadankę dra Dudrewicza powtórzyć dosłownie — ograniczymy się więc jedynie na zanotowaniu tego, że była wypowiedzianą jasno, pięknym językiem i zajęła prawdziwie licznie zebraną publiczność. Ocena treści samej winna być uczynioną przez wtajemniczonego w archeologię specyalistę, — od czego piszący, jako nieobeznany z tą nauką wstrzymać się musi.

VI.

Muszą nam czytelnicy wybaczyć, że zatrzymamy się nieco dłużej nad odczytem p. Stanisława Kramsztyka o kształcie i wielkości ziemi. Na pozór zdawać by się mogło, że przedmiot ten, traktowany mniej więcej wyczerpująco w podręcznikach geografii i kosmografii, nie może przedstawiać treści odpowiedniej do poruszania jej w odczytach przed szerszą publicznością. Z przemówienia jednak p. Kramsztyka każdy ze słuchaczy wyszedł niezawodnie z zadowoleniem, a słuchał go z jajęciem, gdyż istotnie zajmującą, bardzo systematycznie i pedagicznie uporządkowaną treść prelegent wyłożył żywo i z takiem przejęciem, że ono niewątpliwie udzielić się musiało i słuchaczom. *Viva vox docet* — stare łacińskie przysłowie sprawdziło się w całej rozciągłości; bo aczkolwiek p. Kramsztyk posługiwał się od czasu do czasu rękopisem, niemniej przeto cały wykład miał wszystkie pozory bardzo ożywionego improwizowanego opowiadania o doskonale znanym i zajmującym przedmiocie i jako taki do uwagi i zajęcia się nim zmuszał.

Wszystkie te zalety odczytu p. K. podnosimy naprzód z tego względu, że mówił o przedmiocie, który z wielką tylko trudnością można było dla niespecyalistów uczynić zajmującym, a powtóre, co ważniejsza, dlatego, że był to odczyt czysto naukowy, pozbawiony wszelkiego praktycznego interesu, tych wszelkich ozdób i upiększeń, składających się z efektownych doświadczeń i ciekawych okazów, jakie zazwyczaj stanowią zachętę dla mniej wykształconej publiczności do uczęszczania na odczyty przyrodnicze.

Wyłożywszy na początku krótko i zwięzle, w jaki sposób z wysokości gwiazdy polarnej można zmierzyć długość danej części południka *w stopniach*, przeszedł następnie prelegent do rozmaitych pomiarów długości jednego stopnia południka, dokonywanych w rozmaitych czasach, kładąc rozumie się nacisk jedynie na pomiary dokonane w ubiegłem i bieżącem stuleciu, gdyż prace starożytnych, ze względu na swą niedokładność, jedynie historyczne mają znaczenie. Objaśniwszy następnie metodę trójkątowania, podaną przez holenderskiego geometrę Schnelliusa, zwrócił prelegent uwagę na to, że z chwilą udokładnienia metod, za pomocą których można zmierzyć długość łuku południka, powstały zaraz wątpliwości co do istotnego kształtu ziemi, gdyż jednostopniowe łuki południka w rozmaitych punktach ziemi okazały się jako mające rozmaitą długość; stąd nowe prace, mające na celu dokładne poznanie kształtu i wielkości powierzchni ziemi we wszystkich jej punktach. Objaśniwszy spłaszczenie ziemi na końcach osi i powiedziawszy o spłaszczeniu równikowem (równik również nie jest kołem, lecz elipsą) przeszedł prelegent do badań nad długością wahadła, mniej ścisłych, niż pomiary geodezyjne, gdyż na długość wahadła wpływa gęstość skał znajdujących się w danym punkcie powierzchni ziemi. W każdym razie badania nad wahadłem sekundowem zdają się wykazywać, że powierzchnia oceanu nie przedstawia się kulisto, lecz jest pośrodku wklęśniętą, a wzniesioną przy brzegach.

Ziemia więc nie jest kulą, nie jest elipsoidą obrotową w końcach jednej tylko średnicy spłaszczoną, lecz nie można jej także uważać za elipsoidę obrotową o jednem więcej nieprawidłowem (równikowem) spłaszczeniu. Powierzchnia ziemi jest więc, bez względu na góry i doliny, nader nieprawidłową, a ta idealna bryła, do jakiej najbardziej się zbliża forma naszego globu, otrzymała nazwę *geoidy*, której kształt z czasem dopiero poznamy, gdy ukończone zostaną te olbrzymie prace, jakie międzynarodowa komisya, zawiązana w Berlinie wcelu poznania istotnego kształtu i wielkości ziemi, podjęła.

Taką jest w krótkości zebrana bogata treść odczytu p. Kramsztyka. Szczegółów za prelegentem powtarzać nie będziemy, nadmieniając tylko, że wybór ich był, o ile nam się zdaje, zupełnie właściwy. Wszystkiego, co o wielkości i kształcie ziemi wiadomo, w jednogodzinnym wykładzie p. Kramsztyk poruszyć nie mógł, bo przedmiot to zbyt obszerny, wymagający do wyczerpującego opracowania daleko większej ilości czasu i specyalnie przygotowanych słuchaczy. Lecz to, cośmy na odczycie usłyszeli, obejmowało w sobie wszystkie główne i wybitne momenty w dziejach poznawania naszej planety i dało dokładny obraz środków, jakimi dziś nauka rozporządza, i celów, do jakich pod tym względem dąży.

Na zakończenie dodać musimy, iż pominięcie anegdotycznej części przedmiotu, (opisów trudności, jakie przezwyciężać musieli geodeci, by ustawić sygnały w dzikich okolicach, by dojrzeć dalekie, by ustawić trwale teodolity), na czem zyskała powaga odczytu, był on zajmującym nawet dla tych, którzy po raz pierwszy z tak ścisłemi kwestyami spotykali się.

VII.

O ile odczyt p. Kramsztyka był czysto naukowej natury, o tyle znów pogadanka p. E. Jankowskiego o owocach była ściśle utylitarna, ożywiona serdeczną chęcią prelegenta ujrzenia w kraju naszym jak największej liczby sadów owocowych, — ale sadów naszych, to znaczy zarośniętych drzewami takiemi, które u nas powstały, więc też i w naszym klimacie mogą zimować, u nas się mogą rozmnażać i bez szczepienia wprost z nasion wyrastać. A sadów takich do dziś nie mamy. Te grusze, o których nazwy pozwalałyby przypuszczać (ze względów etymologicznych), że są nasze własne, takiemi istotnie nie są, gdyż wszystkie bez wyjątku znajdują się za granicami naszego kraju i są tam lepiej aklimatyzowane.

Tak więc własnych, zastosowanych do naszego klimatu owoców nie mamy po dziś dzień; jak zaś dojść do posiadania ich, o tem mówił obszernie p. Jankowski, stawiając za przykład prace van Mons'a, profesora chemii w Louvain i Tourasse'a. Van Mons, opierając się na zjawiskach

krzyżowania odmian i gatunków postanowił drogą doboru naturalnego dojść do otrzymania takich gatunków, któreby najlepiej danemu (belgijskiemu) klimatowi odpowiadały i najbardziej pożądane przez człowieka cechy posiadały. W tym celu zasadził kilkadziesiąt tysięcy pestek grusz i jabłoni i czekał lat kilkanaście, zanim owocować poczęły. Nasiona brane z najdorodniejszych osobników tego pierwszego posiewu van Mons znowu zasiał i potrzebował czekać już daleko krócej, zanim to drugie pokolenie owocować zaczęło. Najdorodniejsze okazy drugiego pokolenia posłużyły mu do wyprowadzenia trzeciego, lepiej już od poprzednich przystosowanego do miejscowych warunków i posiadającego upragnione cechy daleko lepiej rozwinięte. Postępując w ten sposób coraz dalej, zdołał van Mons otrzymać odmiany nowe, ściśle do klimatu zastosowane i wzrastające odrazu bez szczepienia z pożądanemi cechami. W całem tem postępowaniu van Mons'a jednym z głównych czynników było krzyżowanie się rozmaitych odmian, zachodzące bez udziału hodowcy, jedynie skutkiem tego, że cała szkółka była umieszczoną na niewielkiej przestrzeni, wszystkie więc warunki sprzyjały do opylania jednych odmian przez drugie.

Tę samą drogę otrzymania nowych i trwałych odmian niedawno obrał francuski hodowca Tourasse, a współcześnie z nim, jeśli nie wcześniej, i zarząd warszawskiego ogrodu pomologicznego. Metoda jego, w zasadzie taż sama, co i van Monsa, różni się wszakże od ostatniej pod tym względem, że otrzymuje szybko owocujące drzewa (w trzecim lub czwartym roku) przez przyrywanie głównego korzenia u młodej (cztero-listkowej) roślinki, przez co wzmacniają się korzenie poboczne, a więc i cała roślina i że krzyżowanie odmian nie pozostawia się dowolnemu działaniu sił przyrody (wiatry, owady), lecz bywa systematycznie przeprowadzane z określonym planem przez sztuczne opylanie.

Metoda Tourasse'a pozwala na wykształcenie w ciągu lat kilkunastu lub kilkudziesięciu zastosowanych do miejscowych warunków odmian; można więc mieć nadzieję, że i my doczekamy się z czasem sadów, napełnionych właściwemi naszemu klimatowi odmianami drzew owocowych, jeśli i nasi hodowcy zechcą postępować za przykładem Tourasse'a i van Monsa i zarzucą praktykowany do dziś najłatwiejszy, co prawda, zwyczaj szczepienia zagranicznych odmian —zwyczaj zgubny pod tym względem, że każda ostrzejsza zima zwykle dziesiątkuje lub piątkuje nasze sady. Mówiąc też o szczepieniu u nas obcych odmian, nie bez słuszności wspomniał p. Jankowski przysłowie, że cudze ręce lekkie, ale nie pożyteczne.

Główną tę treść odczytu p. Jankowskiego poprzedził bardzo pięknie ułożony wstęp, obejmujący historyę i literackie wspomnienia o trzech owocach: północnem jabłku, średnio-europejskiej gruszy i południowem winie, któremu obecnie zagraża zawzięty nieprzyjaciel *Phylloxera*, owad żyjący na korzeniach winorośli, wytępiający już dzisiaj całe winnice i grożący z tego powodu wielu okolicom zupełną ruiną ekonomiczną. Rysunki tego szkodnika ukazywał p. Jankowski słuchaczom na zasłonie w przezroczu.

VIII.

Ostatnim odczytem w rozpatrywanym szeregu było wystąpienie p. Br. Znatowicza, który mówił o płomieniu, jego istocie, oraz cieplikowych i świetlikowych własnościach. Wyprowadzając każdą bez wyjątku z wygłaszanych prawd z odpowiednich doświadczeń, stanął prelegent na gruncie czysto pozytywnym i nie zapuszczał się wcale w zbyt głębokie teorye, które aczkolwiek są bardzo piękną ozdobą faktycznej wiedzy, jednak istoty rzeczy nie stanowią.

Odczyt o płomieniu z natury rzeczy musiał być koniecznie powtórzeniem prawd mniej więcej znanych i niejednokrotnie poruszanych w popularnych pismach i wszystkich podręcznikach; dla szerszej więc publiczności główny urok miały pięknie wykonane i w bardzo systematyczny szereg ułożone doświadczenia; w tem właśnie leżał główny punkt ciężkości lekcyi publicznej, punkt bardzo ważny, boć każde doświadczenie, każdy fakt inaczej wygląda w książce, a inaczej przedstawia się w rzeczywistości. Gdy opisane w podręcznikach doświadczenia są *in natura* przedstawione przed oczyma słuchaczów, gdy do nich dodane jest zaraz jasne i dobitne tłomaczenie, wówczas rzecz cała odbija się w umysłach wyraźnie, teorya wciela się w rzeczywistość, i wtedy z pewnością przestaje być *szarą*.

Z rzeczy nowych, nieporuszanych jeszcze publicznie po polsku ani na katedrze, ani w druku, usłyszeliśmy w odczycie p. Br. Znatowicza pierwszy poważniejszy głos, jaki się odezwał przeciwko istotnie pięknej i uświęconej już niejako tradycyą teoryi świetności płomienia, podanej przez Davy'ego i rozwijanej w ciągu długich lat przez wielolicznych badaczów. Mówimy tu o nowej teoryi świecenia, podanej przez Franklanda i usiłującej obalić twierdzenie Davy'ego, że świetność płomienia zależy od ilości cząstek ciał *stałych*, pływających w gazowej części płomienia i rozżarzonych do białości lub czerwoności. Frankland, opierając się na doświadczeniach, w których *świecący* płomień ciał *stałych* nie zawiera, pragnie obalić teoryę Davy'ego i wykazać, że świetność owa zależy od innych warunków, jako to temperatury i ciśnienia.

Pozostawiając kwestyę otwartą i nierozwiązaną, bo inaczej być nie może, p. Znatowicz obznajmił nas zarówno z teoryą Franklanda jak i z doświadczeniami, na których się ona opiera.

Takim był odczyt ostatni. Wypada na zakończenie powiedzieć słów kilka o wszystkich. Otóż ze względu na trudności urządzenia z jednej strony, i ze względu na świetne wykonanie przedsięwziętej pracy z drugiej — należy się serdeczna podzięka tym wszystkim, którzy swą pracę, wymowę i naukę tak bezinteresownie i szlachetnie złożyli na ofiarę dobra publicznego. Zdanie to wypowiadamy nie jako frazes, lecz jako istotne przekonanie; boć nikt nie ośmieli się zaprzeczać istotnym korzyściom płynącym dla ogółu z obznajmiania go z najnowszemi zdobyczami wiedzy przyrodniczej. Każdy życzliwy krajowi uraduje się z pewnością, gdy ujrzy poważne, piękne i gruntowne dzieło, jakiem będzie pierwszy tom *Pamiętnika fizyograficznego*, którego ukazanie się na widok publiczny tak znakomicie ułatwionem zostało przez finansowe powodzenie odczytów, dzięki licznemu udziałowi publiczności, chętnej do nauki poważnej, choć nie błyskotliwej.

Lecz, aby pierwszy tom *Pamiętnika* nie był ostatnim, należy odczyty te powtarzać corocznie, a wtedy zyski z nich otrzymane wywrą trwalsze wśród naszego społeczeństwa ślady. Spodziewamy się więc i pragniemy, aby zarówno już usłyszany szereg odczytów nie był ostatnim, tak samo, jak i pierwszy tom mającego się niebawem ukazać *Pamiętnika*.

B.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Rocznik zbiorowy prac naukowych na rok 1881 (ciąg dalszy).

Poważnym przyczynkiem naukowym jest rozprawa p. F. Olszewskiego p. t. *Policya lekarska w dawnej Polsce*. Na wstępie autor kreśli historyczny rys badań tego przedmiotu, w którym szczególnie położyli zasługi: J. Sawiczewski, St. Janikowski i L. Gąsiorowski. Zaród organu policyjno-lekarskiego widzi p. O. w Radzie Lekarskiej warszawskiej za Augusta III, ale projekt jej, zarówno jak i prawo Komisyi Szpitalnych z r. 1775 nie dojrzały. Ogólna krajowa policya lekarska występuje właściwie dopiero w komisyach porządkowych (1793), którym rozstrojone stosunki społeczne nie pozwoliły się należycie rozwinąć. Po tych notatkach historycznych autor kreśli w obrazie dziejowym pojedyńcze rozgałęzienia policyi lekarskiej w ich stopniowym rozwoju aż do ostatnich chwil Rzeczypospolitej, opowiada o środkach uprzystępnienia wiedzy medycznej, o kontroli nad leczącymi, o stosunku lekarzów w Polsce, o zapobieganiu chorobom dziedzicznym i porodowym, o policyi żywności, trucizn, budowlanej i t. d.

Praca p. Olszewskiego nie ma dostatecznie obszernego tła historycznego, gdyż autor przedmiot swój oderwał od całości społecznego życia dawnej Polski i zrobił zeń specyalny preparat. Nadto szkic jego jest nową przeróbką materyału przeważnie znanego, ale pospieszamy dodać — przeróbką szczęśliwą i pełną. Wykład jasny, uszeregowanie faktów porządne, ogarnięcie ich pewne i przejrzyste. P. Olszewskiego spotykamy nie po raz pierwszy na polu badań historycznych, od lat kilku pomieszcza on w pismach peryodycznych drobne tej treści opracowania, świadczące zaszczytnie o ciągłych studyach młodego autora i o jego chęci odkrycia w przeszłości naszej stron jeżeli nie zupełnie nowych, to przynajmniej zaniedbanych. Język w obecnym szkicu jest wogóle staranny a nawet dosadny, oszpecają go tylko czasem pewne dziwaczne wyrażenia (np. *zadatować, zadatowanie* i t. p.) tem bardziej, że autor używa ich ze szczególnem upodobaniem. *M. S.*

Rolnictwo i handel za czasów Księstwa Warszawskiego H. Konitza jest krótkiem zsumowaniem ośmioletnich dziejów dwu tych gałęzi gospodarstwa krajowego. Autor podawszy ludność z trzech dat życia tego politycznego kaprysu napoleońskiego, zastanawia się nad rolnictwem. Naturalnie zasadniczą kwestyą jest tu słynny artykuł konstytucyi, znoszący w Polsce niewolę. Niewątpliwie, samo obdarzenie włościan swobodą bez obdarzenia ich ziemią nie mogło wytworzyć szczęścia ludu i uległo pod brzemieniem zależności ekonomicznej; ale p. K. posuwa się za daleko, twierdząc, że stosunek ten „nie wywarł *żadnego* wpływu.“ Rozjaśniając przedmiot na podstawie aktów prawnych, autor dopełnia tę analizę zaznaczaniem głosów, jakie współcześnie odzywały się w literaturze o stosunkach włościańskich. Głosów tych jednak ani nie wyczerpuje, ani nie bada bezpośrednio, lecz bierze często z drugiej ręki. Wniosek ogólny taki: „Stan rolnictwa był opłakany. Niewolnicze w rzeczywistości położenie włościan, ogromne podatki w pieniądzach i naturze, mała produkcya zboża, a obszary ziemi ugorujące bezpotrzebnie, wszystko to składało się na obraz wcale nieponętny.“

Następnie autor zastanawia się nad handlem oraz przemysłem i te działy opracowywa daleko gruntowniej. Nadewszystko bardzo szczegółowo przedstawionem i należycie oświetlonem jest gospodarstwo protektycyjnego systematu wymierzonego przeciw Anglii, który w Księstwie Warszawskiem odbił się również bardzo wyraźnymi skutkami. Te karty pracy p. Konitza zasługują na poznanie i stanowią nader pożądany przyczynek do historyi naszej, od tak niedawna badającej ekonomiczne stosunki przeszłego życia. Na końcu rozprawki dodał autor dwie tablice cen zboża, które przedstawiają ciekawe porównanie z cenami obecnemi. *D.*

(Dokończenie nastąpi).

LIBERUM VETO.

Projekt p. Prusa. — Uwagi nad nim pp. Makowieckiego i Kirszrota. — Wartość negatywna pierwszych i pozytywna drugich. — Wszechstronność Tow. Dobroczynności i potrzeba samoistnych kas oszczędnościowo-pożyczkowych. — Względna użyteczność projektu p. Prusa. — Kto sypnął głównie ofiary. — Obowiązek gminy żyd. myślenia o sobie i starań u władzy.—Daremna obawa. — Unieważniony spadek po hr. Tołstoju. — Karty wizytowe w szpitalach. — Konkursowy wiersz p. Kosteckiego. — Drugi akt farsy hrabiego. — Wesoła nowina.

Kto dziś nie myśli o żydach lub kasie pożyczkowej dla rzemieślników, ten chyba nie myśli o niczem. Dwa te przedmioty zajmują kolejno lub jednocześnie uwagę ogółu, który po fantastycznym śnie o „reformach“ nagle się obudził i tak zapłonął do zaprojektowanej przez p. Prusa w *Kuryerze Warszawskim* kasy pożyczkowej dla rzemieślników, że aż poczciwi ludziska kąpią się i brody golą na jej dochód, wspaniałomyślnie ofiarowany przez właścicieli rezur i łazienek. Oprzytomniawszy z tego zapału, rozpatrzmy chłodno, czego żąda wnioskodawca. Pragnie on zwiększenia funduszu kasy pożyczkowej, istniejącej przy Tow. Dobroczynności, aby tym sposobem: 1) zapewnić czeladnikom i robotnikom fabrycznym możność zaciągania krótko-terminowych i niewielkich pożyczek i 2) wyrwać ich z rąk lichwiarzów. Popierając swą myśl czynem, p. Prus ofiarował pierwszą składkę, redakcya *Kuryera* drugą a następnie posypały się inne tak obficie, że dziś już otworzyły poważną sumę 4.000 rs. Ponieważ zdrój ofiarności publicznej trysnął tak szczodrze, zachodzi więc tylko pytanie: czy on należycie i prawidłowo płynąć będzie w obranem łożysku? P. Makowiecki, znawca tego rodzaju spraw, powiada w *Kuryerze Codziennym*, że — nie. Bo w owej kasie przy Tow. Dobroczynności: 1) mają prawo do pożyczki tylko *stali* mieszkańcy Warszawy; 2) pierwszeństwo w zaciąganiu ich służy *majstrom*, a czeladnikom wtedy tylko, gdy ci udowodnią, że zakładają warsztaty na własną rękę; 3) funduszami rozporządza osobny wydział, który posiedzenia swoje odbywa *raz na miesiąc*; 4) prośby o pożyczki obiegają bardzo *długą drogę formalności*. Jeżeli wszystko to dodamy, to wypadnie nam, według p. Makowieckiego, że projekt p. Prusa chybi celu.

Do tegoż wniosku ze względów ogólniejszej natury dochodzi w *Kur. Warszawskim* p. Józef Kirszrot, który proponuje, ażeby na zasadzie ustawy z r. 1871 dla kas *oszczędnościowo-pożyczkowych* postarać się o założenie samodzielnej tego rodzaju instytucyi. Inaczej radzi p. Makowiecki. Nie szukając dróg nowych, wskazuje on istniejącą przy Tow. Dobroczynności kasę św. Marcina dla parafii św. Andrzeja, która udziela pożyczki drobne, pobiera małe procenty i wolna jest od zawikłanych formalności. Kas takich, według p. M., możnaby urządzić w Warszawie 12, jedną dla każdej parafii, a odpowiednie nadzory-zbierałyby potrzebne informacye i załatwiały żądania daleko prędzej, niż scentralizowany zarząd jednej kasy.

O ile p. Makowiecki umiejętnie podważył projekt p. Prusa, o tyle p. Kirszrot rozumnie wskazał mu inną podstawę. Pierwszy przekonał dowodnie, że obecna kasa pożyczkowa przy Tow. Dobroczynności nie odpowie zadaniu, drugi — że dla spełnienia go trzeba porzucić instytucyę jałmużniczą i przejść na grunt ekonomiczny. Cokolwiekbyśmy chcieli zrobić z Tow. Dobroczynności, zawsze ono pozostanie *dobroczynnością*, nie zaś skarbcem, gdzie robotnik w pomyślnych chwilach składa swe oszczędności a w niepomyślnych czerpie pomoc. Przed kilku laty ks. Lubomirski zajął się urządzeniem kas oszczędnościowo-pożyczkowych na prowincyi a p. A. Templer w Warszawie; dla tych ostatnich przygotowano projekty, ale co się z nimi stało, p. Kirszrot nie wie. My wiemy: uwięzły na którejś z niezliczonych stacyj znanej formalistyki, na której manowcach tyle już pięknych marzeń przepadło. Skutkiem jej utrudnień, któremi zdolna zniechęcić najwytrwalszych, wszelkie nowe projekty garną się do starych instytucyj i wtłaczają się w najmniejsze szparki ich ustaw. Ponieważ zaś ustawa Tow. Dobroczynności jest dosyć rozległą, więc przylepiają się do niej najrozmaitsze narosty. Tak przyczepiła się kasa literacka, która wcale nie działa, tak przyczepić się pragnie teraz robotnicza, której p. Makowiecki śmierć przepowiada. Jeżeli możność stowarzyszania się u nas nie będzie rozszerzoną, to niedługo pod skrzydłami Towarzystwa Dobroczynności znajdziemy wszystkie projekty, jakie się w łonie naszego życia wylęgają; niedługo ono mieścić w sobie będzie kasy, resursy, teatry, stowarzyszenia naukowe, artystyczne, towarzystwo przeciw żebractwu (świeżo projektowane) i t. d. Cóż więc robić? Według naszego przekonania, należy skorzystać z chwili, w której skład sfer rządzących jest inny i może się okazać przychylniejszym, w której nadto potrzeba kredytu ludowego ujawniła swą niezbędność. Innemi słowy: trzeba znowu rozpocząć to, co kiedyś rozpoczął p. Templer. Naturalnie, trudno myśli p. Prusa, urzeczywistnionej nawet w tym kształcie, jaki on dla niej obrał, odmówić bezwzględnej użyteczności. Chociażby korzystali z niej tylko stali mieszkańcy, tylko majstrowie, tylko raz na miesiąc i po długich korowodach, chociażby tylko drobna liczba biedaków uniknęła krogulczych szpon lichwiarzy — i to znaczy wiele.

Najszerszym strumieniem płyną wkładki na kasę dla rzemieślników z kieszeni niechrześciańskich. Między wierszami długiej listy nazwisk, zdradzających charakter wyznaniowy swych właścicieli, zdaje się, czytamy: patrzcie, że żydzi umieją nietylko wyzyskiwać lud roboczy, ale także go wspierać. Wspaniałomyślność nader chwalebna. Pragnęlibyśmy jednak, ażeby żydzi nasi nie poprzestali na tej ofierze, wywołanej wrażeniami chwili, i pomyśleli także... o sobie. Obowiązek ten adresujemy głównie do gminy żydowskiej. Czytaliśmy ostatnie jej sprawozdanie, w którem wyspowiadała się z całej swojej niemocy względem swych ciemnych współwyznawców. Według własnego jej wyznania, nie wie ona ile jest chederów, nie ma na nie żadnego wpływu, nie zdołała nawet podciągnąć pod kontrolę melamedów. Teraz, gdy wypadki dostarczyły argumentów zasadzie utożsamienia żydów z ludnością ich otaczającą, gmina powinna wystąpić do władzy z prośbą o zniesienie wszelkich warsztatów fanatyzmu i nadanie jej praw umysłowego reformowania. W tym celu radzę jej odczytać świeży okólnik ministra oświecenia, nad którym w innem miejscu zastanawiamy się bliżej.

Okólnik ten poprzedziła znaczna ulga w szkolnictwie naszem. W spuściźnie po gospodarstwie hr. Tołstoja pozostał przepis, według którego o promocyi ucznia rozstrzygał stopień przeciętny z cenzur kwartalnych; do egzaminów zaś dojrzałości dopuszczani byli ci tylko, którzy napisali zadawalające ćwiczenie na żądany temat. Obecnie oba te chińskie probierze usunięto, uwolniono arytmetykę gimnazyalną od jednego przynajmniej działania — a wypracowaniom odjęto władzę decydowania o losach tysiąców ludzi. No, młodzi moi przyjaciele odetchnijcie po zrzuceniu tego kamienia, z któregobym pragnął wyciosać pomnik dla jego twórcy.

Gazeta Lekarska usiłuje zwalić inny kamień, mianowicie objaśnienia na kartach wizytowych w szpitalach pisane po rosyjsku, wbrew prawu i zwyczajowi. Przyłączam się do żądania szan. koleżanki chociażby z tego względu. że dostawszy się kiedy do szpitala nie chciałbym umrzeć skutkiem... filologicznej omyłki lekarza lub felczera. Sądzę wreszcie, że nawet współpracownicy *Moskiewskich Wiedomości* woleliby być wyleczeni w Szpitalu Dzieciątka Jezus po polsku, niż zabici po rosyjsku.

Nareszcie w pismach ogłoszono wiersz p. P. Kosteckiego na cześć Calderona, który sławę naszej Muzy zaniósł aż do Hiszpanii i za który autor nagrodzony został na konkursie złotym medalem. O ile oda, rozpłomieniająca się na zimno i dla uczczenia bohatera niestrzegąca żadnej granicy w oznaczeniu jego wielkości, może być piękną, o tyle utwór p. Kosteckiego jest pięknym. Posiada on wszystkie warunki uroczystej deklamacyi i przesady. Niektóre strofy w tym przeciągniętym nastroju przypominają francuskie przysłowie, że „od szczytności do śmieszności tylko krok jeden;“ niektóre znowu są suchem rymowaniem geograficznem. Przy czytaniu ich brzmiały mi w uszach uniesienia ks. Dębołęckiego:

> Padła na Szląsk, Czechy, okrutna mania,
> Ale w większym strachu była Frankonia,
> Nuż pot ogrójcowy puściła Hassya,
> Padła jak w ogrojcu na wznak Alzacya
> I Biponcya.

Mimo to wiersz p. Kosteckiego mógł być najlepszym, i doprawdy nie autor winien, że napisał przesadny panegiryk, jeśli konkurs panegiryka od niego żądał. Winien tylko, że puścił takie wiersze, kulawe lub bezbyślne, jak:

> U stóp mu anioł, *tędy i owędy*
> Biorąc po lutni..

albo:

> I ku zabawie przygrywałeś rzeszy,
> Jak radość dziecka, niechaj brzmi ochota!
> *Ptak* (?) się weseli, niech i człek się cieszy!

albo:

> A czciciel złota, co urąga (?) Bogu
> Dumą skruszony (!) w Twej mogiły progu.

albo o Hiszpanii:

> O. z *win obmyta* (?) i z ran uleczona (!)
> Jakąż (!) Bóg *jeszcze* wielkość chowa Tobie!

No, nie grymaśmy, bo przecież to... oda.

Ach, jakże piękną odę możnaby napisać na cześć tego hrabiego, który rozsławiwszy się procesem z guwernantką w sądzie pokoju, powtórzył widowisko w Zjeździe, na którem zarobił 100 franków, straconych z żądań powódki. A może w Senacie rozegra się akt trzeci tej wesołej farsy?

Przy sposobności rozśmiejmy się z wesołej nowiny. Według telegramu *Kur. Warszawskiego* koncesya na budowę drogi iwangrodzko-dąbrowskiej ma być oddana „konsorcyum, reprezentującemu *wszystkie* warstwy społeczeństwa: Wielopolski, Zamoyski, Ostrowski, Karski, Rau, Lewenstein, Szeibler, Goldstand, Bloch, Laski.“ A ja myślałem, że ci panowie należą do jednej tylko warstwy społeczeństwa! Patrzcie państwo!..

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Tydzień piotrkowski zaskarbia sobie zasłużone uznanie podniesieniem u nas ważnej sprawy uregulowania hypoteki włościańskiej. W obszernym artykule pióra p. Jeziorańskiego, pomieszczonym w numerze 21 wspomnionego pisma, do którego odsyłamy bliżej interesujących się przedmiotem, znajdujemy dość wyczerpująco, jak na dziennikarski artykuł, rozwinięte motywa, uzasadniające projekt w zasadzie moralnej, ekonomicznej i prawnej, oraz długi szereg błogich skutków, jakie—zdaniem autora—hypoteka włościańska przyniesiećby musiała dla stanu kmiecego w szczególno-

ści i dla kraju wogóle. Nie mogąc tu powtarzać samych wywodów i obietnic autora, powiemy tylko, że chociażby, jak to przypuszczamy, urzeczywistnienie jego równie rozsądnego jak zacnego projektu w połowie tylko przyniosło te następstwa, które pan J. obiecuje, jużby nam miło było poświęcić nietylko poparcie prasy, o które autor wzywa, lecz wszelkie możliwe trudy. Rozumie to każdy, kto ma choćby przybliżone, ogólnikowe pojęcie o doniosłości stanu systematycznie uregulowanego w stosunkach własnościowych i kredytowych drobnego rolnictwa. Możemy więc zapewnić szanownego autora projektu, że ani pożądanego poparcia ze strony prasy, ani sympatyi ze strony społeczeństwa, czyli tak zwanej opinii publicznej, nie braknie jego dobrej myśli. Gdybyż to jednak wystarczało! Niestety — są to rzeczy, które załatwione być mogą tylko na drodze prawodawczej, od której dzieli nas absolutna w tym kierunku bezczynność. Sam projekt hypoteki włościańskiej nie jest właściwie dopiero „pomysłem“ — jak się wyraża pan J. w *Tygodniu*. Nie mówiąc o krajach nam obcych, przypomnieć chcemy, że w Galicyi sprawa ta długi czas pokutowała na porządku dziennym, zanim po kilkoletnich wędrówkach przez manowce parlamentów i gabinetów ministeryalnych, nareszcie w roku zeszłym, jeśli się nie mylimy, obleczoną została w szatę obowiązkowej ustawy, przed wprowadzeniem której w wykonanie wiele jeszcze wody upłynie. Jeśli więc w warunkach tak przyjaznych, jak posiadanie w swojem ręku inicyatywy prawodawczej i bezpośredniego wpływu na jej uwzględnienie, hypoteka włościańska jeszcze nie weszła w życie, to cóż my zrobić możemy dla losów projektu pana J. i wszelkich jego spółtowarzyszów niedoli? Możemy udzielić mu poparcia opinii—i takowe udzielamy z całem przekonaniem; możemy jego i siebie pocieszyć przypomnieniem obowiązku, który zabrania „wątpić“ i zaniedbywać troski o własne interesy, a nakazuje orać zagon choćby nie było wielkiej na urodzaj nadziei. „Pukać“ — że jeszcze raz tego porównania użyjemy — ...pukać jako tako możemy; więc... pukajmy. Zobaczymy przynajmniej czy Stary Testament prawdę mówi.

*

* *

Owo pukanie jest zresztą czynnością wcale nieszkodliwą; nie przeszkadza bowiem przy dobrej woli zajmować się robotą, która zależy wyłącznie od nas samych. Roboty takiej jest niemało, nawet po za sferą filantropii, która u nas usiłuje wypełniać wszystkie luki społeczne. Przykłady samodzielnej działalności jednostek lub instytucyj rzadko nam przychodzi notować, czynimy to więc tem chętniej. Jeden z tych przykładów podaje właśnie do wiadomości publicznej korespondent *Nowin*, piszący „z okolicy fabrycznej“. Robotnicy w starochowieckich fabrykach, jak się dzieje wszędzie, byli nielitościwie wyzyskiwani przez przekupniów, dostarczających przeważnie na kredyt przedmiotów żywności. Skojarzona z tym przemysłem spożywczym lichewka zapanowała sobie wszechwładnie nad całą liczną ludnością fabryczną, tak iż zarząd musiał zastosowywać wyjątkowe sposoby wypłaty zarobku, aby się z niego cokolwiek i samemu robotnikowi mogło okroić po za przekupniemlichwiarzem. Nareszcie zarząd fabryki założył własny magazyn wszelkich potrzeb spożywczych, które bez zysku sprzedaje robotnikom na kredyt, pokrywając z zarobku. Magazyn rozwija się znakomicie, pomimo nieuniknionych w początku niedostatków, które doświadczenie tylko usunąć może; banda wyzyskiwaczy pierzchnąć musiała, a obie strony sprzymierzone: fabryka i robotnicy—będą wzajemnie z siebie zadowoleni. Oto, jak się przedstawia najlepsza propaganda antisocyalistyczna, najlepsze lekarstwo przeciw „Judenhetzen“ i t. p. Czemuż tak skąpo bywa zastosowywanem?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 25 maja.

Francuska Izba deputowanych uchwaliła reformę ustawy wyborczej czyli tak zwane głosowanie z list. Wniosek tej reformy wniesiony przez posła Bardoux, pod protekcyą Gambetty, który był jego moralnym ojcem i głównym opiekunem, oddawna już w wysokim stopniu zajmował opinię publiczną nietylko we Francyi ale i w Europie całej. Chodziło tu bowiem o założenie zasadniczej podwaliny dla tegorocznych wyborów, które mają otworzyć nowy okres rozwojowej działalności rzeczypospolitej. Zainteresowanie, jakie przedmiot ten budził, wzmogło się jeszcze skutkiem tej okoliczności, że Gambetta ze swoim planem natrafił na bardzo poważną opozycyę nawet w republikańskim obozie. Przeciwnikiem wniosku Bardoux był nawet prezydent rzeczypospolitej, skąd wyrodził się pewien rodzaj walki „między pałacem Bourbon a pałacem Elizejskim,“ której szanse aż do ostatniej chwili przeważały się raczej na stronę przeciwną reformie. Jeżeli więc mimo to wszystko Gambetta, który ustąpiwszy przewodnictwo obrad wice-marszałkowi Brissonowi, cały urok swego oratorskiego talentu rzucił na szalę, ostatecznie zwyciężył, — jestto jeden więcej dowód jego potężnego wpływu, a zarazem nowy krok zrobiony naprzód ku owładnięciu wewnętrzną sytuacyą kraju. Znaczenie tryumfu Gambetty niemało bezzaprzeczenia osłabia ten fakt, że większość głosów za reformą przeważyły kreski bonapartystów. Nie jest to wszelako, jak utrzymują niektóre dzienniki — dowodem, iżby większość ta nie była mimo to republikańską. Wszystkie bowiem grupy były podzielone w zdaniach, ale w każdej poszczególe padła większość głosów za gambettowskim projektem. Wzgląd ten zresztą podrzędnej doniosłości samego faktu nie zmienia. Prasa republikańska cała przyjmuje wyrok większości jednozgodnie, nie wyjmując organu Grevego, i kampania wyborcza, która się rozpocznie po zamknięciu Izb, rozwinie się już na podstawie nowej ustawy. Zamiast głosowania okręgami, zaprowadza ta ustawa głosowanie na całą listę kandydatów w każdym departamencie, który to system daje wszelkie widoki usunięcia a przynajmniej ograniczenia do minimum posłów reakcyjnych i komunistycznych. Dotychczas nie jest rzeczą pewną, czy ministeryum Ferrego, którego kilku członków wraz z samym prezesem niechętnych było dla reformy, ustąpi przed wyborami jeszcze, jak to słyszeć się daje. W każdym razie nie podlega już prawie żadnej wątpliwości, iż Gambetta teraz lub później będzie musiał stanąć na czele przyszłego gabinetu i poprowadzić ster rządu jako odpowiedzialny pierwszy minister.

Po za granicami Francyi wrażenie zwycięstwa Gambetty jest przeważnie korzystne. Wprawdzie prasa niemiecka niejest mu rada, niektóre jej organa, jak np. wiedeńska *Presse* deklamuje nawet tragicznie o upadku trzeciej rzeczypospolitej pod dyktaturą Gambetty, który ma mimowiednie torować drogę Bonapartemu, w urzędowych jednak sferach dyplomatycznych przyjęto dobrze reformę, mającą ustalić republikańskiego ducha parlamentu francuskiego, który uważany jest za lepszą rękojmię pokoju niż ewentualne rządy monarchiczne. Czy słuszne jest to zapatrywanie, — kwestya, ale jeśli tylko istnieje, ma swoją wagę.

Sprawy francuskie, tak wewnętrzne jak zagraniczne, mianowicie także kwestya tunetańska, stanowią prawie wyłączny przedmiot zajęcia świata politycznego. Po za niemi niewiele jest do zapisania w jego kronice. Zaznaczywszy więc jeszcze tylko, że Izba deputowanych zatwierdziła już traktat z Tunisem, że protesty tureckie umilkły, Anglia i Włochy spuściły z tonu i wogóle cała sprawa jest dyplomatycznie ukończoną i tylko zbrojne utarczki z arabami zapełniają jeszcze rubrykę wiadomości z Tunisu, moglibyśmy na tem skończyć przegląd. Atoli dla dokładności sprawozdawczej nadmienić jeszcze należy, że w Konstantynopolu podpisano już nareszcie konwencyę, określającą sposób wydania grekom ustąpionych prowincyj, które ma się rozpocząć zaraz po ratyfikacyi umowy przez sułtana i króla greckiego.

S. S.

O PRAWDĘ.

P. J. Cohn prosi nas o zamieszczenie następującej repliki.

„W ostatnim numerze *Prawdy* p. Wł. G. pomieścił sprawozdanie z mojej pracy „O niewymierności liczby *e*,“ drukowanej w *Roczniku zbiorowym prac naukowych na rok* 1880,“ i robi jej trzy zarzuty, na które jaknajkrócej chcę tu odpowiedzieć.

Co do pierwszego: Oznaczenie $M-m=\mu$ nie wypada bynajmniej z założeń poprzedzających, gdyż jedna z poprzednich równości, którą ma na myśli p. Wł. G., jest tylko warunkiem dla wyznaczenia *m* spółczynników. Przez wyrażenie moje „przypuśćmy, że $M-m=\mu$“ rozumiem eo ipso, że warunek ów jest dopełniony.

Co się zaś tyczy punktu drugiego, zauważyć mi należy, że p. Hermite w swych rachunkach robi użytek nie z tej postaci ostatniego pierwiastka (str. 9 rozprawy p. Hermite'a), którą ma na myśli p. Wł. G., ale z postaci uproszczonej przez uwzględnienie μ nieskończenie rosnącego, wyraźnie przez p. Hermite'a wypisanej na str. 10. Temu p. Wł. G. prawdopodobnie nie zaprzeczy. Po cóż więc mi było wyprowadzać to, co w rachunkach dalszych jest całkiem niepotrzebne, obciążać i tak dość obszerną moją pracę szeregiem zgoła zbytecznych formuł? Wprawdzie w pierwszym brulionie przeprowadziłem ten elementarny rachunek, o który p. Wł. G. chodzi, i na wykonanie którego tenże tak obszerne podaje wskazówki; ustęp ten później opuściłem, aby nie potrzebnym epizodem nie nużyć uwagi czytelnika. Nie wiem jednak dla czego p. Wł. G. nazwał sposób, jakiego użyłem dla wyprowadzenia wyrażenia pierwiastka ostatniego przy μ nieskończenie wielkiem, metodą błędną. Nie wskazał bowiem p. Wł. G., gdzie ma być nieścisłość w rozumowaniu mojem, a natomiast, po gołosłownem potępieniu, mówi całkiem o czem innem, mianowicie o postaci pierwiastka przed uwzględnieniem nieograniczonego powiększania się μ. W tym samym ustępie p. W. G. porusza inną kwestyą, która się do mojej pracy zupełnie nie odnosi. Wszakże sam p. Wł. G. zauważył, iż zająłem się uprzystępnieniem pierwszej części rozprawy p. Hermite'a, który wszędzie przeprowadza przybliżenie do $\frac{1}{\mu^2}$, a nie do $\frac{1}{\mu}$. Mojem więc założeniem było uzasadnienie szczegółowe wyrzeczeń rozmaitych p. Hermite'a, nie zaś rzekome ich poprawianie. Pozwolę sobie jeszcze dodać, że jeżeli bez zbytniego skomplikowania formuł p. Hermite zdołał otrzymać przybliżenie dokładniejsze od minimalnego wymaganego to tem lepiej: dowód jego bowiem stał się przez to bardziej przekonywającym.

Nakoniec co do trzeciego punktu, to czytający odpowiedni ustęp sprawozdania p. Wł. G., mógłby niewłaściwie pomyśleć, iż w mojej pracy powiedziałem to wszystko, o czem p. Wł. G. mówi, że miejsca mieć nie może, gdy tymczasem z moich słów na str. 289 i 304 nie wypada bynajmniej, abym prawym stronom równań, o których mówi p. Wł. G., przypisywać miał coś innego prócz tego, że one w ogóle „zdążają do zera w miarę wzrastania μ.“ Z tego bynajmniej nie wypada, aby one miały zdążać do zera w taki sposób, jak

między wierszami mej pracy wyczytał p. Wł. G. Całe zaś dalsze rozumowanie p. Wł. G. oparte jest na przypuszczeniu, iż ja to powiedziałem, czego w mej rozprawie niema najmniejszego śladu.

W kwestyi braku czystości języka p. Wł. G. ma słuszność za sobą. pośpiech jednak przy druku *Rocznika*, nie dozwolił mi zakomunikować komuś, znającemu lepiej ode mnie język naukowy, polskiej redakcyi mej pracy."

J. Cohn.

Sprawozdawca nasz odpowiada na to:

Dla czego jednak p. Hermite daje na stron. 9 swej rozprawy różną postać pierwiastka od tej, której używa na str. 10? Czyżby p. Hermite miał być niekonsekwentnym? O to go przecież posądzić nie można: tylko, że na str. 9 daje wartość przybliżoną z dokładnością $\frac{1}{\mu^2}$, a na str. 10 używa przybliżonej z dokładnością $\frac{1}{\mu}$, albowiem taka do obliczenia całki ostatniej jest już wystarczającą. Ztąd przeto nie wynika, aby autor na str. 297 swej pracy miał słuszność dowodzić, że ta ostatnia wartość pierwiastka jest przybliżoną z dokładnością $\frac{1}{\mu^2}$, a tem samem zaprzeczać niejako prawdziwości twierdzenia p. Hermite'a na str. 9. Dla tego to w sprawozdaniu zwrócono na ten punkt uwagę i nazwano metodę użytą przez autora błędną, rozumie się o tyle, o ile ma dostarczyć pierwiastek z dokładnością $\frac{1}{\mu^2}$. Jeżeli zaś autor żąda dowodu, że tak jest w rzeczy samej, to wystarczy na to: obie części ostatniego równania na str. 296 pomnożyć przez z i następnie licznik i mianownik pierwszej części podzielić przez pierwszy wyraz mianownika. Wówczas przekona się, że odpowiednie wyrazy, które na str. 267 wydawały mu się małemi (względnie) rzędu drugiego, są małemi rzędu tylko pierwszego; że więc przez opuszczenie tych wyrazów otrzymuje się przybliżenie nie z dokładnością $\frac{1}{\mu^2}$, ale z dokładnością $\frac{1}{\mu}$. Dodawszy w końcu, że otrzymanie tego pierwiastka i dowodzenie jego dokładności kosztowało autora całą stronnicę druku, podczas gdy wskazówka w sprawozdaniu zawiera tylko wierszy 16 o połowę mniejszych niż wiersze autora, nasuwa się mimowoli pytanie: czy nie byłoby ze wszech miar lepiej trzymać się sposobu elementarnego, zachowanego w brulionie?

Co zaś do samej istoty rozprawy, to twierdzimy raz jeszcze, że autor wykonania rachunków, nawet elementarnych nigdzie nie pominął, ale także i nigdzie nie zaznaczył, że dla liczb N,..... niewymiernych podobnego twierdzenia dowieść nie można; a toby zdaje się rzecz całą bardzo objaśniło, zwłaszcza że praca p. C. jest zapewne przeznaczoną przedewszystkiem dla tych, którzy rozprawy p. Hermite'a nie są wstanie rozumieć.

Korzystając wreszcie ze sposobności uważamy za obowiązek nadmienić także (na co w sprawozdaniu pierwotnem uwagi nie zwrócono), że autor ani wspomniał nawet, iż metoda Laplace'a stosuje się li tylko do różniczek zawierających czynniki w potęgach rosnących, i tylko wówczas, kiedy wyrazy szeregu zawartego w nawiasie formuły (4) na str. 278 maleją szybko ze wzrostem tychże potęg (co się wogóle reguluje dobierając odpowiednio potęgę wykładnika liczby $\frac{1}{e}$ przy zamianie zmiennej niezależnej—patrz *Théorie anal. des prob.* § 23 str. 91 i 92.). Bez tych zastrzeżeń formuła (4) nie ma żadnego znaczenia, a tem bardziej kiedy się poprzestaje na wyrazie pierwszym, czego wymaga dowodzenie twierdzenia p. Hermite'a.

Wł. G.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Projekt ustawy Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, zredagowany ostatecznie i uchwalony na ogólnem zebraniu założycieli, przedstawionym zostanie niebawem do zatwierdzenia władzy wyższej. W tym celu tłomaczony jest obecnie na język urzędowy.

— Wystawa przedmiotów przeznaczonych na wystawę moskiewską, urządzona staraniem komitetu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Pałacu Brühlowskim, zamkniętą zostanie w d. 29 b. m.

— Gubernator warszawski baron Medem, jako prezes Rady Dobroczynności publicznej, ze względu, iż obecnie istniejące instytucye filantropijne są niedostateczne, wystąpił do generał-gubernatora warszawskiego z przedstawieniem co do utworzenia w Warszawie: a) domu dla starców i nieuleczalnych kalek; b) szpitala dla dzieci z chorobami zaraźliwemi i wysypkowemi; c) przytułku dla położnic. Fundusze potrzebne ma obmyśleć osobna komisya.

— Wyznaczoną została specyalna komisya dla opracowania nowego kodeksu karnego. Komisyi tej złożono następujące materyały, zebrane przez II wydział własnej Jego Cesarskiej Mości kancelaryi i ministeryum sprawiedliwości: 1) zbiór wszystkich postanowień zawartych w Zbiorze Praw, posiadających cechę karną; 2) tłomaczenie kodeksów Francyi, Belgii, Niemiec, Węgier i części ogólnej kodeksu włoskiego i 3) uwagi osób należących do władz sądowych nad Kodeksem Karnym i Ustawą o karach wymierzanych przez sędziów. Wkrótce zebrane mają zostać zdania wypowiedziane w literaturze prawniczej rosyjskiej i wyroki kryminalne departamentu kasacyjnego Senatu.

Stowarzyszenia. Towarzystwo pisarzy i artystów węgierskich wybrało na dożywotniego prezesa honorowego Maurycego Jokaya, złożywszy tem hołd swój dla talentu słynnego powieściopisarza.

Literatura polska. Nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa wyszły z druku *Poezye* Maryi Konopnickiej.

— Taż firma puściła w świat *Dzieje Polski*, streszczone dla dzieci według najnowszych źródeł przez Sokoła.

— We Lwowie wyszła praca Wincentego Wdowiszewskiego p. t. *Dwaj malarze polscy*. Przyczynek ten do historyi sztuki w Polsce traktujący o dwóch, mniej znanych szerszemu kołu publiczności, a nieżyjących już dziś malarzach, braciach Siemionowskich.

— Wyszła z druku broszura p. Leona Pilaskiego p. t. *O przywróceniu waluty metalicznej w Austryi wobec dzisiejszej walki złota ze srebrem.*

— Pracy p. Filipa Flama p. t. *Rzecz o wekslach i czekach*, opuścił prasę zeszyt trzeci.

Dziennikarstwo polskie. W Bielsku (na Szlązku austryackim) wyszedł pierwszy numer *Kroniki Słowiańskiej*, redagowanej przez p. Leopolda Bytomskiego.

— We Lwowie zaczęła wychodzić gazeta polsko-hebrajska p. t. *Ojczyzna*.

— Wyszedł z druku drugi zeszyt *Przeglądu Akademickiego*, wydawanego pod kierownictwem Dr. Izydora Kopernickiego. Zeszyt ten zawiera, między innemi, rozprawę zmarłego w roku zeszłym Walentego Mikroty p. t. *O stosunkach wewnętrznych Polski za Władysława Warneńczyka.*

— *Przeglądu bibliograficzno-archeologicznego* zeszyt dziewiąty wyszedł z druku i zawiera między innemi źródłową pracę p. Ernesta Swieżawskiego p. t. *Z dziejów aptekarstwa w Polsce.*

Malarstwo i rzeźba. Olbrzymi obraz Wernera, przedstawiający kongres 1878 w Berlinie, wystawiono na widok publiczny w ratuszu nadsprejskiej stolicy. Obraz ten ściąga tłumy ciekawych, z powodu iż malarz sportretował twarze wszystkich mężów stanu, którzy przyjmowali udział w konferencyi.

— Obraz Siemiradzkiego *Pogoń za motylem*, wystawiono obecnie w Berlinie, w pasażu pod Lipami.

— Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły następujące dzieła: Ambrosa, *Matka z dziećmi*; de Bensy, *Wyjazd na polowanie Stanisława Leszczyńskiego*; Dukszyńskiej Emilii, *Spioszek*: Perla Edmunda dwa obrazy: *Przed karczmą* i *Przed kuźnią*; Ryszkiewicza Józefa, *Na jarmarku*; Swieszewskiego Aleksandra, *Po deszczu przy zachodzie słońca*; Sidorowicza Zygmunta, *Poranek*; G. Zasso, *Czytanie wyroku Maryi Stuart.*

Teatr. Setną rocznicę pierwszego wystawienia na scenie *Zbójców* Schillera obchodzić będą Niemcy w styczniu 1882 r.

— Uroczystości z powodu teatru narodowego w Pradze Czeskiej zostały odłożone do dnia 28 b. m.

— W teatrzyku warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności odegrano nową oryginalną operetkę p. Gabryela Rożnieckiego p. t. *Czary*. Treść osnuta na temacie ludowym.

Na scenie tegoż teatrzyku wystawiono poraz pierwszy oryginalną komedyjkę p. Świderskiego Leopolda p. t. *Dziwacy*.

— Panna Justyna Machwitz rozpoczęła szereg gościnnych występów w operze warszawskiej.

— Pani Marcelina Sembrich-Kochańska zbiera obecnie wawrzyny i złoto w Londynie.

Nekrologia. Dr. Adamowicz, były profesor akademii wileńskiej, zmarł w Wilnie w d. 12 b. m.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. S. St. Prosimy Pana o uważne dczytanie poprzednich naszych ogłoszeń. Dodatek bezpłatny do *Prawdy* składa się z 24 arkuszy druku rocznie, dołączanych kwartalnie (po 6 arkuszy). Za kwartał pierwszy już Par otrzymał, za drugi wyślemy wkrrtce, będzie to dokończenie, pracy Pypina, której połowę Pan posiada.

P. T. S. w Żytomierzu. Zwracamy uwagę na odpowiedź poprzednią.

P. R. Mon. w Wilnie. Uwagi Pańskie są zupełnie słuszne, o ile się odnoszą do kościoła katolickiego na Litwie; nasze zaś są słuszne, bo dotyczyły jedynie Królestwa. Że sprawy kościoła wyznaniowe na Litwie wymagają uporządkowania i poprawy, nie ulega żadnej kwestyi.

Prenumeratorowi. Nie bajki. Wiemy o tem, ale sprawy przez Pana wspomniane nie były wcale przedmiotem układów.

Złożyli dla kurpiów.

Berestiaki rs. 15, Zupolski rs. 2, Karpowicz rs. 6, Okenczyc rs. 2, Kamiński rs. 10, Pini rs. 2, Kozanowski rs. 3, Próchnicki rs. 5.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku i stanowiący albo osobną książkę albo część dzieła większego.

Dokończenie pracy Pypina, której pierwszą połowę abonenci „PRAWDY" już posiadają, rozesłane będzie wkrótce wraz z okładką tytułową.

Sprostowanie. W Nr. 19 *Prawdy* str. 221 szp. 1 w 10 zam. *by* czyt. *be.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Мая 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**